

NR 36
listopad–grudzień
2001

aleje 3

**DWUMIESIĘCZNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY**

ISSN 1427-8812 CENA 1 ZŁ

W NUMERZE:

- * **Tadeusz
Gierymski**
- * **Jerzy
Duda-Grac**
- * **Wioletta
i Szymon
Grzegorzewscy**
- * **Andrzej
Kalinin**
- * **Ludmiła
Marjańska**



fot. Piotr Dłubak – zwiastun wystawy w Muzeum Wyobraźni Tomasza Sętowskiego (XII 2001)



Pierwszym laureatem konkursów miesięcznych był Paweł Wróblewski, a fotografia pochodzi z rozstrzygniętego w maju konkursu – „Najbliżsi”. (patrz: Galeria – str. 36)

SPIS TREŚCI

poezja	4
zapiski o świecie	6
proza	9
recenzje	11
sztambuch teatralny	15
reportaż	19
plastyka	22
wywiad	27
z miasta	29
poczta redakcyjna	32
galeria	34-38

aleje 3

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy



Numer zrealizowany przy
pomocy środków
budżetowych samorządu
województwa śląskiego

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
e-mail: aleje3@emediapro.com.pl

Redaktor naczelny

KRYSTIAN PIWOWARSKI

Zespół redakcyjny:

SŁAWOMIR BURSZEWSKI
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja tekstów i korekta

ANNA WOLAŃSKA

Redaktor techniczny

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

DTP

wydawnictwo
emedia

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89

DRUK

DRUKARNIA **KEMOT**
Częstochowa, ul. Krakowska 45

Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

ROK 2001 POWOLI ZBLIŻA SIĘ ku końcowi i można powiedzieć, że minął pod znakiem drażliwych rozdrapywań ran po czasach holocaustu. Zaczęło się od sprawy o Jedwabne, atmosferę podgrzały roszczenia majątkowe polonii amerykańskiej oraz oskarżenie komputerowego koncernu IBM o wspieranie w czasie wojny Gestapo, na dokładkę mieliśmy aferę z odszkodowaniami dla pracowników przymusowych w III Rzeszy. Dopiero po pięćdziesięciu sześciu latach od zakończenia II wojny światowej nadszedł czas na rozliczenia i gesty zadośćuczynienia. Przy okazji odzywają się dawne, uśpione fobie i antagonizmy. Niedawno Unia Europejska przeprosiła za kolonializm i niewolnictwo w czarnej Afryce. W tej sytuacji Polacy powinni domagać się przeprosin i rekompensaty za okres zaborów od rządów Niemiec, Rosji i Austrii. Przecież przez sto dwadzieścia lat ktoś czerpał z nas zyski...

Interesująca jest otoczka kulturalna tych zjawisk. Ogromną popularnością cieszy się znów kultura żydowska. Powstają filmy (wkrótce „Pianista” Polańskiego), książki i komiksy. Najgłośniejszy chyba – „Maus” Arta Spiegelmana wydany po dziesięciu latach w Polsce rozładował trochę napięcie związane z tą tematyką, ponieważ swoje spojrzenie na „czas pieców” zaprezentowało młode pokolenie Żydów, które także musiało się jakoś z przeszłością rozliczyć. Najciekawsze, że akcja tej dwuczęściowej epopei rozpoczyna się w Częstochowie (stąd pochodzi główny bohater), a swoją stylistyką przypomina „Folwark Zwierzęcy” Orwella. Ludzie są w „Mausie” tylko zwierzętami i jak to bywa w przyrodzie, jeden jest łowcą a drugi ofiarą. Dlaczego „Maus”? Otóż jest to nawiązanie do hasła propagandy hitlerowskiej z lat trzydziestych, które posądzały te gryzonie o roznoszenie bakterii po całym świecie.

Pocziwa Miki z kreskówek Walta Disneya stała się obiektem nienawiści nazistowskich ideologów i w niej dopatrywano się potencjalnego zagrożenia moralnego. Niekiedy rzeczywistość brutalnie ingeruje w świat bajek...

Często zastanawiam się: jak wyglądałoby społeczeństwo polskie, gdyby nie by-

ło ostatniej wojny? 40 procent mniejszości narodowych, zsemityzowana inteligencja. Jak Polacy przyjęliby taką sytuację? Przecież jesteśmy uważani za jeden z najbardziej antysemitycznych krajów w Europie. Czy starczyłoby nam tolerancji dla wyznawców Talmudu, czy też zachowywalibyśmy się jak nasi południowi sąsiedzi – Czesi, którzy budują getta dla Romów?

Nawet szum wokół malowideł Brunona Schulza wykorzystano na Ukrainie, żeby nagłośnić jego pochodzenie. Ciekawe, ilu pisarzy zostałoby w polskim podręczniku po „oddaniu” twórców Litwinom, Ukraińcom czy Żydom? Uczniowie by się ucieszyli... W powieści Wł. Reymonta „Ziemia Obiecana” jest pokazana sytuacja pozytywna: Polak, Żyd i Niemiec w przemysłowej Łodzi zakładają spółkę i wspólnie robią interesy. Może się tego nie zauważa, ale ta zauroczona kapitałem i finansami książka niosła w sobie także ideę porozumienia ponad podziałami, dążenia do wspólnego celu. Jak bardzo Polakom tego brakuje! Za dużo mamy uprzedzeń, za dużo stereotypów urobiło naszą opinię...

Tyle o przeszłości. Obchodzący niedawno osiemdziesiąte urodziny Stanisław Lem, nasz wielki futurolog, zapytany o przyszłość, powiedział że nie widzi jej w optymistycznych kolorach. Jak na potwierdzenie jego słów, tydzień później terroryści uderzyli w World Trade Center w NY. W „Bombie megabitowej” Lem zapowiadał, iż wojny przyszłości będą wyglądały zupełnie inaczej niż nasze o nich wyobrażenia. Zapewne był to tylko przedsmak tego, co nas czeka w XXI wieku. Kontratak trzeciego świata i konflikt cywilizacyjny może być bolesny dla bogatej Północy. Podejrzewam, że temat Żydów w tym kontekście będzie powracał jeszcze nie raz i może mieć numer 1. Prof. Nowak-Jeziorański podkreśla, że bomba tyka na Bliskim Wschodzie... Zastanawiając się nad ludzkością w sensie globalnym, pytam: czy nasz gatunek jest rzeczywiście niezbędny dla istnienia tej planety? Życzę Państwu mniej podobnych, pesymistycznych rozterek i zachęcam do wypadów w świat kultury i sztuki.■

S. Burszewski

turniej jednego Wiersza

wrzesień 2001

Bartosz Mazur

Gwałt za oceanem

Jęk i płacz dusz ludzkich
Terror strach i boleść
Zroszonej krwią Ziemi Matki
Wszystkich miłujących pokój

Kwiat drzewo i motyl
Zapłacz nad Ameryką
Świat rozdarty
Niebo i ziemia krwawi raną głęboką
Jak nóż wbity w serce
Wyszarpana wyrwana żalność

Kamień choć zimny zrozumie
Skandal i hańba
Zabici i żywi

Cisza po burzy śmierć zbiera plony
Krew ludzka na gruzach zastygła
Krzyczy do Boga o pomstę
Nie tak być powinno

Choć zgłiszcza straszą
Nad światem unosi się jeszcze woń nadziei

Częstochowa 13.09.2001

Nowy Jork –
World Trade Center,
taras widokowy



WIOLA I SZYMON

RODZINY MUZYKUJĄCE CZY MALARSKIE nie należą do rzadkości. Podobnie coraz więcej jest klanów aktorsko-filmowych. Natomiast rodziny zakładane przez poetów są dla mnie zjawiskiem niecodziennym. Po pierwsze poeta to typ nieprzystosowany społecznie i wiecz- nie zbuntowany (tak przynajmniej wmawiano mi w szkole), zamykający się w celi i cierpiący za miliony przez osiem godzin przy gołej żarówce i szklance gorzkiej herbaty. W dobrym poetyckim stylu jest popełnić samobójstwo, żeby powstała legenda straceńca. Poeta nie przekazuje potomstwu swojego genu szaleństwa i przekleństwa, liczy natomiast na chwilowe zapomnienie, lecz później na pomnikowe wskrzeszenie. Moje wyobrażenia okazały się błędne, kiedy spotkałem małżeństwo Grzegorzewskich, dwójki poetów czynnie działających na scenie częstochowskiej i nie tylko. Oboje wydają tomiki wierszy, występują publicznie, startują w konkursach i na festiwalach. Wiola przez jakiś czas nieźle z tego żyła... Myliłby się ktoś, myśląc że ta dwójka siedzi w domu przy świeczkach (dla nastroju) i składa sonet lub poemat. Wiola pracuje w księgarni i jest z tego bardzo zadowolona. Szymon założył zakład RTV i naprawia telewizory. Myślę o przyszłości. Mieszkają w walącym się domu (sąsiedzi lekko niezrównoważeni), lecz chcą kupić mieszkanie w blokach. Nie chcą, żeby ich dziecko było poetą, mimo iż ta ich fascynuje. Poznali się dzięki niej i wspólnie rozwijają swoje zainteresowania. Razem, ale osobno. Ich światy poetyckie są bardzo różne. Wiola skłania się ku klasycznej poezji kobiecej, Szymona obwołują na Śląsku drugim Wojaczkiem. Z jednej strony myślowe skróty i lakoniczna forma, z drugiej uliczno-blokowa szara rzeczywistość. Delikatność i szorstkość. Finenzja i brzydota. Wiersze Szymona drukowaliśmy w nr 1/2001. Małżonkowie z czasem upodobią się do siebie, zobaczymy jak będzie w tym przypadku. Na pewno nawzajem się dopingują i pomagają sobie przy pisaniu. Mogą od razu ocenić swoje utwory. Niebezpieczeństwo zapożyczeń chyba im nie grozi, bo to zbyt różne osobowości twórcze. Rywalizacja chyba też nie. Jest wiele plusów takiego związku, choćby ten, że wspólnie mocniej muszą stąpać po ziemi. Wypadałoby teraz poszukać małżeństwa prozaików albo dramaturgów. Myślę, że naukowcy mogliby się postarać o wyodrębnienie z kodu DNA genu literackiego

i sprzedawać go w ampułkach, tak jak to wkrótce zrobią z genem długowieczności. A może literatura to kwestia wychowania?

Od października Wiola i Szymon postanowili wspólnie prowadzić spotkania poetyckie klubu „Meneris”, na których prezentowani będą poeci z całej Polski. Na pierwszy ogień idzie Bartłomiej Majzel, później wystąpi prawdopodobnie

nie Marcin Świetlicki (?). Grzegorzewscy, chętnie odwołujący się do tradycji klubu „40 i 4”, zapraszają w każdą środę o godz. 18:00 do OPK „Gaude Mater”, skąd o 19:00 przenoszą się do kawiarni „Dekadencja” przy ul. Nowowiejskiego. W tym lokalu ostatnio coś się zaczyna dziać: wiszą obrazy, śpiewają muzycy, grają młodzi aktorzy... ■

(SB)

BAJKA DLA NELLY SACHS

*„Jaki znak królewski
w tajemnicy powietrza”
N. Sachs „Motyl”*

widziałam jak motyl
wyklął się z poczwarki ust
rozłożył wilgotne skrzydła
na których dojrzewały
hieroglify Twoich wierszy

potem próbował pofrunąć
otworzył niebo za horyzontem
lecz właśnie skończył się świat...

Z LISTU DO GERTRUDY KOLMAR

*„Z mojej krwi
Wypuściła pączki róża”
G. Kolmar „Bezpłodna”*

zanim w przedwojennych gazetach
skojarzyli Cię z robactwem
byłaś już żabą psem ptakiem

w drodze do Oświęcimia myślałaś
o swoim nienarodzonym dziecku
chciałaś zasnąć przy nim
pod krzewem śnieguliczki

kiedy brakowało Ci tchu
zapomniałaś odmianę
czasownika „być” po hebrajsku

Twoje wiersze przeznaczone
na przemiał wypuściły kolce...

INGEBORGA BACHMAN DO HERAKLITA

dla nich byłam zwęgloną ćmą
poetką, która zapaliła się
w nocnej nylonowej koszuli

ze świadomością Niepokornej
obracanej w popiół na stosie
przekłówałam pęcherze stalówką
gasiłam ból kroplami atramentu

czysta powstałam z ognia...

ŚWIAT CHRISTINY

Andrew Wyeth

nie wrócę dzisiaj do domu
gdzie powietrze gęstnieje
a przedmioty puchną
w bursztynowym świetle pieca

schowam się w zarodkach sporyszu
uśpię zapachem ziół Pennsylvanii
otworzę świat, którego nie kaleczy
linia horyzontu

Z LISTU NARKOMANKI DO SYLVII PLATH

czekam na Ciebie pod szklanym
kloszem dworca centralnego
w głowie żerują nietoperze
odwracają świat do góry nogami
mój Styks płynie pod skórą
rozbija się o błękitne brzegi

czekam na Ciebie na dnie snów
lepkich jak wnętrza zielonych makówek
przyjdź mądra Królowo Pszczół
i uządlij mnie złotym jadem

DESZCZYK. DROBNY, PRAWIE NIEWIDOCZNY, lecz wyjątkowo uparty. Kropli tak już drugi dzień. Ciśnienie atmosferyczne niskie, samopoczucie jeszcze niższe. Myśli – jak gotujący się sznurek w garnku. Wodniste, nieciekawe. Jedna połyka drugą. Trudno się skoncentrować, trudno pisać, czytać. Samo biologiczne istnienie nie wywołuje, jak dawniej, skowytu szczęścia. W taki dzień moje trwanie jest pyłkiem przylepionym do wielkiego zegara Czasu. Męczy bezczynność umysłowa. To ta pogoda, którą chcę rozśmieszyć pytając okna: „Czy w Tamizie topią się nietoperze?”

Nagle z dna pamięci wypryskuje fragment z zapomnianej już zupełnie tragedii starogreckiej. Olimpiada.

Chór starców: Jaka z nas ongiś dzielna młodzież była.

Chór mężów: Dziś przy nas siła, spróbuj, jeśli wola.

Chór młodzieży: Przyjdzie wam pola ustąpić przed nami!

Oto najkrótsza synteza życia i jego przemijalności.

Wychodzę na balkon. Barchanowy deszcz wciąż pada jedostajnie, jakby w okolicy stanęły wszystkie zegary. Ale to nieprawda, gdzieś tam, w środku deszczowej mgławicy Wielki Zegar cyka i cyka.

* * *

Motyle – jak mi powiedziała nosząca już dziesiąty krzyżyk staruszka z Przymiłowic – to duchy zastrzelonych przez myśliwych zwierząt. Latają dłużej lub krócej nad ziemią między kwiatami i w każdą noc, z soboty na niedzielę, fruują aż do nieba, aby zanieść Bogu trochę miodu. Aliści kiedy cichszym głosem zaczęła się skarżyć, że z każdym dniem jej ubywa, bo gdy pali chrustem w piecu, to przez komin z dymem ulatują kawałki jej duszy, zaraz się domyśliłem, iż starość rozwodniła jej mózg. Starość nie radość – powiedziała ciężko. Milczałem patrząc na jej duszę, co po kawałeczku ulatuje w przestworza.

* * *

Niedawno wpadła mi w ręce książka Zbigniewa Herberta (wydana już pośmiertnie) „Labirynt nad morzem”. Stanowi ona zbiór szkiców o cywilizacji starożytnej Grecji i Krety. Wraz z „Barbarzyńcą w ogrodzie” oraz „Martwą naturą” tworzy jakby prozatorski tryptyk. Niektóre rozprawki drukowano za życia Herberta w czasopiśmie, np. w Zeszytach Literackich. Wszystkie odnoszą się do antycznej Grecji i Rzy-

mu. Najbardziej podobała mi się pierwsza o tytule równym tytułowi całej książki. Zebrał w niej Herbert swoje wrażenia i przemyślenia z podróży na Kretę zamieszkałą ongiś przez lud, po którym zostało niewiele zabytków, np. resztki pałacu Knossos, freski na jego ścianach, trochę detali architektonicznych i tajemnicze pismo. Cywilizację minojską zniszczył prawdopodobnie wybuch wulkanu (Atlantyda?).

W tym właśnie arcyciekawym studium znalazłem dwa proste, a zarazem piękne zdania. Opisując jedną ze scen na fresku, poeta pisze: „Pta k pije wodę i słucha śpiewu roślin.” Od wpływając zaś od wyspy wciąż niezbadanej, widzi ją i notuje: „Kreta tajemnicza, o zaciśniętych ustach, zamkniętych oczach – broni się”. Przed penetracją archeologów i uczonych, jacy tworzą wciąż tylko hipotezy. Te dwa zdania wyrwane z kontekstu fascynują mnie swym spokojnym pięknem.

* * *

Już trzeci dzień Julia u nas. Myśleliśmy, że będzie się zbyt nudzić. Ależ skąd tam! Zaraz koleżanki z blokowiska, z którymi może się porozumieć zupełnie dobrze swą nie najlepszą polszczyzną. Dopiero na trzeci dzień mogę wyjść z nią do miasta. Spacerujemy, siadamy na ławce. Za małą kotlinką – basen z zapapraną wodą, nad którą płaczą brzozy. Wiem, że Julia jest za żywa, by dłużej siedzieć na ławce. Proponuję, żeby pobiegła do huštawek obok piaskownicy. Julia podnosi twarz, pokazuje swoje duże, jasnobrązowe oczy, zdziwione, poważne tym razem i wolno mówi: Gaga, (tak mnie nazwała, gdy była półrocznym dzieckiem) jestem już prawie dorosła, nie mogę się bawić w piaskownicy z maluchami... i zarzuciła mi ręce na szyję, całując.

Istotnie! Okazałem się naiwnym idealistą walczącym z wiatrakami, które miały czas. Niższa ode mnie zaledwie o centymetr, ma pączkującą biust, makijaż na twarzy i kształty rozwijającej się kobiety. A ja posyłam ją do piaskownicy! Pomieszał mi się czas, pomieszały wiatry...

* * *

W końcu to nie tak ważne, że ktoś napisał i wydał jeden lub kilkanaście tomików wierszy; ani że namalował ileś tam set pięknych obrazów, wyrzeźbił postać Iksa lub Igreka ani to że zagrał wspaniale lub równie doskonale wyreżyserował „Hamleta”. Cała bowiem sztuka to tylko zabawa, rozrywka, może sen, jaki śnimy na jawie. Ważna a naprawdę jest inna działalność: lekarza (nie

Wybór zapisków o świecie ukazał się niedawno w tomie pt. „Notatki z czasu” wydanym przez Wydawnictwo WSP przy finansowym wsparciu Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Częstochowy

skorumpowanego), co ratuje ludzkie życie, matki z Kalkuty, inżynierów i architektów, co budują domy, ratowników, strażaków, wolontariuszy różnego rodzaju, mądrych nauczycieli i księży dających opłatek i...

Sztuka to jedynie lek na nudę, olśnienie innych swą odmiennością, oryginalnością. Nawet najpiękniejszy wiersz żyje krótko, jak kwiat wazonie. Po samym pięknie nie związanym z odmianą (na lepsze) ludzkiego losu, pozostaje kupa śmieci, gruzów, zwęglonych marzeń.

* * *

W dzień letni, skwarny, gdy idziesz między zbożami, możesz usłyszeć ich szczekanie, jęki, piski. Czasem nawet zobaczyć stojącą nieruchomo, ubraną w biały welon, wysoką postać kobiety. To południca. Niechybnie spotka cię wte-

Tak mi bajała staruszka z Przymiłowic, gdy ją znowu spotkałem na skraju wsi.

* * *

Autośmiech osłabia kilka poważnych grzechów: pychę, zarozumiałość, przesadny egotyzm itp. Ale ile jeszcze pozostało we mnie przywar! Może to i dobrze, albowiem człowiek skomponowany z samych zalet, nudny byłby dla siebie i innych jak nieskazitelny Anhelli Słowackiego.

* * *

W tramwaju spotkały się oczy z oczami. Nie było to przypadkowe, bo trwało o dwie sekundy za długo. I powstał z tego spotkania nienapisany wiersz, tajemniczy, zagadkowy, rojący się od domysłów.



Ta impresyjna fotografia Morskiego Oka jest dziełem zakochanej w Tatrach Krystyny Nowak, a uznana została za najlepszą we wrześnieu, gdy temat konkursu brzmiał: „Woda”. Patrz: Galeria – str. 36.

dy jakieś nieszczęście. Południca może sparaliżować człowieka na kilka godzin. Nie będziesz mógł postąpić kroku ani mówić lub wzywać pomocy. Mojego ojca, kiedy jeszcze był parobczykiem trzy południce przeniosły na chatupę kowala z sąsiedniej wsi. A najgorzej, gdy wypatrzy w zbożu figlującą miłośnie parę, w czasie jak dzwonią w kościele na południowy Anioł Pański. Wówczas miłować się przestają i są wrogami do końca życia. A na dodatek oboje utracą płodność.

* * *

Pogoda parszywa. Sam w domu, Maria w Zapolu. Wszystkie sprzęty domowe, meble, nawet ściany przyglądają mi się z zainteresowaniem tak silnym, jakby chciały we mnie wnikać. Proszę, wejdźcie, już dawno nie mogę siebie zatrzasnąć. Na stole, w kuchni nieumyty talerz, cukierniczka, filiżanka, kefir w tekturowym opakowaniu, deseczka, na niej cztery brzoskwinie. Z telewizora dobiega głos: „W Polsce nastąpiło załamanie się ładu moralnego...”. Nagle wiatr uderza w okno, bęb-

ni deszcz. Miękki, rozmazany jak daleki werbel. I raptem karuzela w głowie, opieram się o blat stołu, żeby nie upaść. Deszczowa zawieszina przez szybę liże mnie po wargach. Po co film znowu się cofa? Aż do wojny, Warszawy? Rok? Pierwsze lata czterdzieste... więcej nie pamiętam. Getto już jest, lecz do sądu ostatecznego trzeba jeszcze poczekać. Wjeżdżamy z ojcem na teren trędowatych wiaduktem. Mur z czerwonej cegły zagradza ulicę pod nami. Pojazd posuwa się wolno. Widzę granatowych policjantów. Dwóch, może trzech. Pod murem wydłubana dziura, przejście na aryjską stronę. Z tamtego czasu noszę, jak zawsze pod powiekami scenkę, kilka kadrów – z filmu pt. „Moje dzieciństwo”. Oto do tej szczeliny między dwoma światami biegną dwaj żydowscy chłopcy z torbą z kartoflami. Ścigają ich granatowi policjanci i odbierają kilkanaście ziemniaków, które się wysypują na ziemię. Umorusane dzieciaki niczym jaszczurki prześlizgują się na tamtą stronę, ale już bez zdobyczy. Wichura nie ustaje, sprawdzam okno czy dobrze zamknięte. Przez moją głowę zawsze płyną równocześnie dwie rzeki: jasna, srebrzysta i ciemna, niespokojna, burzliwa.

* * *

Przysłowia są mądrością narodów? Niektóre wyrażają prawdę. Jednak sądy zawarte w wielu z nich są tak ogólne, rozmydlone, iż mogą być zarazem prawdziwe i nieprawdziwe, np. wszystkie słowa odnoszące się do pogody. Mamy i takie, powszechnie używane, które są zdecydowanie fałszywe. „Prawda leży pośrodku”. Nieprawda! Najczęściej znajduje się bliżej jednego lub drugiego brzegu. Bardzo rzadko – pośrodku. Albo: „Nadzieja jest matką głupich”. Czasami bywa irracjonalna, ale życie bez niej dla wielu byłoby udręką. Gdyby Polacy przez ponad sto lat nie mieli nadziei na niepodległość, chyba dalej byłibyśmy krajem... nadwiślańskim i wynarodowionym. I jeszcze bardzo popularne porzekadło: „Nie ma reguły bez wyjątku”. Są takie w skali makro, a odnoszą się do praw fizyki. Im więcej wyjątków, tym reguła słabsza. Gdy jest ich wiele, reguła się po prostu rozsypuje, zanika. Tak więc nawet teza: „Przysłowia są mądrością narodów” jest względna, tylko w części prawdziwa. Kiedy pytam kogoś: „czy zdanie 'Niektóre brzozy są drzewami' jest prawdziwe lub fałszywe?” najczęściej otrzymuję odpowiedź, że fałszywe. A jest odwrotnie. Dlaczego?

* * *

Czym jest prawdziwa miłość? W s p ó ł d c z u w a n i e m. Tak silną i szlachetną empatią,

że osoba kochająca prawie się utożsamia z przedmiotem swej miłości.

* * *

Najtrudniejsze pytania zadają dzieci. Nad ich odpowiedzią głowią się mędrzy od tysięcy lat. Dzieci o tym nie wiedzą i bawią się w chowanego.

* * *

Nosisz tarczę – spotkasz miecz.

* * *

Kariera jest jak rwąca rzeka. Wynosi na powierzchnię przedmioty puste, wydmuchane, pograża zaś ciężkie i solidne. Taką myśl zanotował Franciszek Bacon z przełomu XVI i XVII wieku. Prawda tej sentencji nie straciła aktualności do dzisiaj.

* * *

Tramwaj. Dziewczynka w wózku, może półtoraroczna, obok mama. Dziecko kręci główką, ogląda się, chwilę patrzy na mnie chabrowymi oczami. Ściąga z głowy żółtą chusteczkę i rzuca na podłogę. Wóz dojeżdża do przystanku. Dziecko zasłania młodą kobietą o uroczej twarzy i pięknej sylwetce. Szykuje się do wyjścia. Widzę tylko poręcz wózka. Po kilku sekundach wielkomięska nimfa ginie w drzwiach. Zakochałem się w mgnieniu oka w obu kobietach, tej klasycznej w proporcjach i greckim profilu, i tej w wózku, obserwującej nadal świat i wielkoludów. W której bardziej, myślę, gdy młodszą rodzice wynieśli z tramwaju? W tej malutkiej, co malusimi rączkami chciałyby schwytać powietrze.

Takie miłości przeżywam wciąż, chociaż zauroczenia trwają krótko, bo obiekty moich miłości zaraz znikają w R z e c z y w i s t o ś c i, która ma tyle zakamarków, skrytek, cienia...

Takie krótkotrwałe wzruszenia dopadają mnie często. Przedmiotem ich nie muszą być ludzie. Samotna chmurka na nieboskłonie, co się zagubiła, oderwała od macierzystej flotylli, sieroca brzoza wśród drzew innego gatunku, biedronka na dłoni nim zwieje ją wiatr, jakiś chwast, którego nazwy nie znam, guzik bez pętelki, krawat, którego nigdy nie nosiłem (bo jestem bezkrawatowiec), piskłę, co wypadło z gniazda próbując żyć na własny rachunek, fiński pieniążek itp.

* * *

Kocham cię, Tulio, nadal, ale teraz uczuciem tak czystym jak łza anioła.■

SOBOTA. SZEDŁEM DO MAŃKA. JAK CO TYDZIEŃ mieliśmy jechać na basen. Dzień był mroźny, drobny śnieg sypał od samego rana, ulice były niemal puste i ogólnie białe, gdzieś niedługo jedynie nieco mniej białe – właściwie szare. Tak. Bardziej SZARE, niż białe. Domo-fon Mańka nie działał, zadzwoniłem więc do sąsiada.

– Kto jest? – spytał przepitym głosem i zaraz otworzył, nie czekając na odpowiedź. Na klatce czuć było moczem i gotowanymi warzywami.

– Cześć, Maniek – rzuciłem przy wejściu.

– Cześć – odpowiedział, pakując ręcznik i klapki.

– Szybciej, jest za dziesięć.

– Spokojnie, już wychodzimy... – mruknął.

Jego niebieski maluch stał dumnie tuż pod oknem – przez dłuższy czas nie chciał odpalić, ale w końcu zaskoczył, wydając idiotyczny dźwięk, podobny do dźwięku odkurzacza. Ruszyliśmy. Jechaliśmy ni szybko, ni wolno hamując jedynie na czerwonym świetle. Maniek przeklinał wówczas, wkurzając się na to, że nie zdążył; uderzał jednocześnie pluszowego misia wiszącego obok lusterka. Przy kolorze zielonym, ruszał nerwowo, szarpiając gałką od biegów to do siebie, to znów do przodu. Potem się zdenerwował, bo nie miał gdzie stanąć. Wyzywał klnąc pod nosem, rozpaczliwie szukając miejsca. Jak wreszcie zaparkował, to humor mu wrócił, nawet podśpiewywał sobie prze-bój Budki Suflera, zdaje się, taki o miłości.

Wychodząc z auta, poczułem od razu drażniący zapach chloru. Maniek też widocznie poczuł, bo mówił, że czuć chlorem.

Chcieliśmy po prostu trochę popływać i przy okazji zmierzyć się na 60 metrów żabką. Maniek wołał kraulem, ale ja nie chciałem zgodzić się na kraula i Maniek musiał zgodzić się na żabę. Kupiliśmy bilety ulgowe, mówiąc, że studiujemy. Mańkowi facetka w szatni nie chciała uwierzyć, ale i tak sprzedała nam dwie ulgowe wejściówki za trzy pięćdziesiąt jedna. Na biletach umieszczona była, oprócz ceny, informacja o godzinach otwarcia pływalni oraz rysunek ładnej dziewczyny w stroju kąpielowym. Zdjęliśmy ubrania, weszliśmy pod prysznic i wskoczyliśmy do wody.

Maniek nie miał czepek i ratownik zwrócił mu uwagę:

– Proszę założyć czepek! – wołał.

– Zapomniałem – odpowiedział Maniek, mówił zresztą prawdę. Chudy, pryszczaty ratownik kręcił z rezygnacją głową, ale już uwagi nie zwracał. Maniek był łysy i tak naprawdę czepek był mu zbędny. Poza tym, w czepek wszyscy wygła-

dali śmiesznie i może dlatego Maniek unikał tego gumowego nakrycia.

Na basenie było wiele fajnych dziewczyn. Chyba wszystkie były młodsze od nas – fajne były. Fajne i ładne. Patrzałem na ich rozwijające się piersi, które pod mokrym kostiumem wyglądały bardzo ponętne. Natomiast one nie patrzyły na mnie tylko na tatuaż Mańka. Ogromny tatuaż na ramieniu lewej ręki. Na prawej miał mniejszy, więc wszystkie patrzyły na ten na lewej. Rysunek przedstawiał liść nieznanej mi rośliny, a na nim napis: droopy tits. Pływaliśmy w tę i z powrotem, a ja dwa razy ze zmęczenia napiłem się wody, wody z basenu znaczy... Potem żeśmy się ścigali. Raz wygrał Maniek, później ja, później znowu Maniek, ale to nie powinno się liczyć, bo jakiś dzieciak skoczył na główkę – prosto na mnie.

Po wyjściu z pływalni byliśmy głodni. Poszliśmy do Mc Donald'a, bo to dobra knajpa, w której zawsze można zjeść to, co smakowało kiedyś.

– Dwa hamburgery, dwa razy duże frytki, keczup i dwie kole – nie, trzy kole – ja wypiję dwie – powiedział Maniek do mnie i do fajnej dziewczyny za kasą. Dziewczyna powtórzyła zamówienie drugiej fajnej dziewczynie za szklaną ladą i wszystko to szybko otrzymaliśmy, gorące i ładnie zapakowane w śliski papier z czerwonym napisem „Mc Donald's”. Jedliśmy, patrząc na wchodzące i wychodzące osoby, gdzieś z sufitu dochodziła amerykańska muzyka i w ogóle wszystko było w porządku. Po jedzeniu Mańkowi się odbiło i opuściliśmy lokal.

– Muszę pożyczyć jakieś filmy na wieczór – spojrzał na zegarek, podświetlając cyferblat na zielono. Zawsze go podświetlał nawet w dzień, tak jak teraz, splunął i skrzyliśmy w boczną bramę, wymazaną czerwonym sprejem.

– Pani da jakieś dobre filmy – powiedział. Tęga baba, żująca gumę sięgnęła na górną półkę i podała pięć kaset. Wybrał dwie ze złotymi napisami, zdaje się karate i coś o zabijaniu. Wyszedliśmy. Maniek szedł za mną i słyszałem, jak znowu splunął, a potem pierdnął dwukrotnie.

– Obejrzą filmy, później jakaś dyskoteka i dzień zleci...

– No...

– A może się uchlam z Bulionem, ma urodziny zdaje się. Kupił piwo czy jakąś inną wodę...

– Nieee – rzekł po chwili – lepiej dyskoteka.

– To na razicho – powiedziałem do Mańka.

– Na razicho – odpowiedział. ■

Konrad Ludwicki

POWRÓT TATY

Tata od wielu lat latał do pracy motolotnią, którą sam zbudował. Był człowiekiem zdolnym i umiał sobie radzić w trudnych sytuacjach, więc krewni byli spokojni, kiedy ten szybował po niebie. „W powietrzu jest bezpieczniej niż na szosie – mawiał. – Tam mnie może uderzyć cysterna z mlekiem, a tu najwyżej kruk mi oko wykole”. Oka nigdy nie stracił, a i na obiad czasami jakieś ptaszysko przywiózł, jak mu się pod skrzydło nawinęło.

Pracował na lotnisku, był instruktorem w szkółce dla młodych pilotów. Drugi pas startowy zrobił sobie koło domu, likwidując długi i wąski zagon rzepaku. „W powietrzu jest bezpiecznie, – mawiał – nawet jak mi silnik wysiądzie, to dolecę na skrzydłach. To przecież także lotnia.” Po kilku latach było już dla nas normalne, że wieczorem ojca trzeba wypatrywać na tle zachodzącego słońca.

Tego feralnego dnia wszystko układało się pomyślnie. Tata po pracy kupił jeszcze w hipermarkecie dużego pluszowego psa Pluto dla najmłodszego dziecka, gdyż miało dzisiaj piąte urodziny. Takie z tortem, świeczkami i połową przedszkola na podwórku. Lecił z bagażem trochę spóźniony, bo czytnik w sklepie nie chciał przyjąć karty kredytowej. Wszystko się jednak dobrze skończyło i dzięki silnym prądom wznoszącym mógł nadrobić czas. Lecił bardzo szybko, być może za szybko. Powinien wyłączyć silnik. Już widział domostwa i grupkę kolorowych maluchów machających rączkami. Wtem nie wytrzymało skrzydło, urwało się i zostało w tyle. Maszyna runęła z wysokości trzech wieżowców prosto w zaorane pole. Z pilota kawałki jedno zostały. Straszliwa kraksa nie zatrwożyła żony ofiary. Nadbiegła ile sił w nogach, pozbierała kawałki ciała, poskładała i natarła cudowną mascią „Heinza”, co to niby wszystko leczy. Po godzinie niedoszły Ikar otworzył oczy i zobaczył nad sobą szumiące topole...■

BAJKI O PÓŁ-LUDZIACH

Sławomir Burszewski

ZBÓJ BARABASZ

Wielu było zbójów na naszej ziemi, lecz niewielu z nich można nazwać profesjonalistami. Fachowiec potrafi wszystko: otworzyć sejf, włamać się na konto, porwać samolot, wymusić haracz. Barabasz był zwykłym chałturnikiem. Zadowalał się drobniejszymi łupami. Można by powiedzieć, że zbierał okruchy ze stołu wielkich kasarzy. Zwykle obrabiał wiejskie kioski „Ruchu”, sklepy spożywcze, torebkę w tramwaju skubnął. Wyżyć się z tego dało, lecz nie zawsze do garnka miał co włożyć. Hamburgerów i frytek Barabasz nie jadł, bo do Mc Donalda nie chodził.

Pewnego sezonu, przemyślawszy swoją karierę, ułożył sobie biznesplan i nastawił się na rabowanie tylko i wyłącznie samochodów. Nie jakichś tam radyjek czy akumulatorów, ale całych gablot, które później spuszczał umówionemu pośrednikowi. Po kilku udanych nocnych zmianach zbój mocno już stał na nogach. Cieszył się, że usunął chaos ze swego życia. Inne zbójce patrzyły na niego z szacunkiem, barman nalewał

w szkło poza kolejką. Na najbliższą noc upatrzył sobie piękne autko ze wszystkimi udoskonaleniami i ABS-em. Już zacierał tłuste ręce na myśl o cacku z niestrzeżonego parkingu. Zakradł się koło drugiej i rozejrzał wokoło. Nie było śladu żywej duszy. Nawet jeśli ktoś go zobaczy, to nie wtrąci się, bo z takim wąsatym drabem nikt nie będzie zaczynał. Kupki żółto-złoty banknotów z Zygmuntem Starym na awersie zaświeciły mu przed oczami. Takiego koloru był też i samochód. Długi, pakowny, na wysokim podwoziu. Terenówka. Dobrał się do zamka. Poszło jak po maśle. I gdy otwierał drzwiczki, te nagle zaczęły trzaskać z całych sił, aż mu palce ucięło jak na gilotynie. Zawył, puścił wytrych i w te pędy do suterenu pod schodami.

Przemysłny właściciel zamontował inteligentny system antykradzieżowy nowego typu, który zadziałał, jak widać, skutecznie. Barabasz porzucił złodziejskie rzemiosło i został inwalidą utrzymującym się z legalnej pracy rąk. Znalazł zatrudnienie w zakładzie pracy chronionej przy produkcji ołówków. Dzięki motoryzacji wkroczył na bezpieczną drogę uczciwości.■

„ŻYWICA” Ludmiły Marjańskiej

Tadeusz Gierzyński

NIGDY, WIĘC NIGDY Z TOBĄ ROZSTAĆ SIĘ NIE MOGĘ ...

Ludmiła Marjańska to fenomen w polskiej poezji współczesnej. Każda następna książka – lepsza od poprzedniej. Talent nie tłumaczy wszystkiego. Myślę, że przyczyna nieustannego rozwoju, bukietów coraz piękniejszych wierszy podawanych czytelnikom, tkwi w trzymaniu się ziemi wszystkimi dziesięcioma palcami. Ziemi, ludzi, przyrody, radości i cierpienia, czyli Życia. Inną przesłanką Marjańskiej jest nieoddzielanie „estetycznością” poezji od świata. Treść i forma stanowią jedność. Egzemplifikacją są dwa ostatnie tomiki: „Trudna miłość” i właśnie „Żywica”. Do takiej doskonałości, dojrzałości dochodzi się przez dwa lata.

Co jest tematem ostatniego tomiku? Wieloletnia pielęgnacja nieuleczalnie chorego męża, jego śmierć i wspomnienia o jedynej miłości, mimo trudu, zmęczenia, udręki.

Kształt wierszy tomiku (który należałoby czytać po „Trudnej miłości”) uderza zwięzłością, oszczędnością słowa i jego celnym, najbardziej właściwym użyciem. Zbędnych słów nie ma. Dlatego mojemu omówieniu „Żywicy” najpierw nadałem tytuł „Słowa ociosane”. Ociosane z różnych figur stylistycznych, ornamentów, upiększeń, zawijasów zdobniczych. Niektóre utwory to wprost epigramaty, np.:

*Żrenice które zagasną
oślni jasność*

Poetka chyba po raz pierwszy (?) nie stawia w „Żywicy” znaków interpunkcyjnych, co wzmacnia ekspresję wypowiedzi. Unika także spiętrzonych metafor, dążąc do prostoty (mądrej prostoty), pokory wobec tematu i siły wyrazu.

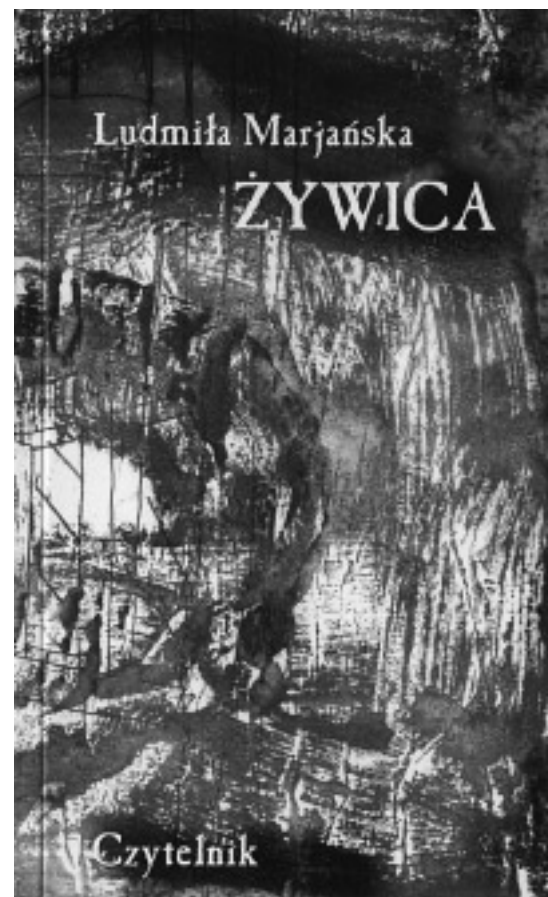
Nie czytałem jeszcze takich wyznań. Przez głowę przemknęła mi myśl o „Trenach” Kochanowskiego, ale tylko przez moment. To bowiem

zupełnie co innego. Wiersze na stronicach „Żywicy” to poezja nowoczesna, skupiona, bolesna, gdzie dla wyrażenia cierpienia poetce wystarczy jedno zdanie, często jedno, dwa słowa z odpowiednim epitetem (np. „stare dziecko”). Przytoczę w całości tak skonstruowany wiersz:

*Nie chodzę już do kościoła
prowadzę dziecko do łazienki
Nie słucham kolęd
usiłując pojąć niezborne słowa
Nie płaczę
zmuszam się do uśmiechu
Zwalczam rodzącą się gorycz
spokojem
Przez sen czuwam
czy nie wstaje
moje stare dziecko
zbudziło się w noc sylwestrową
przerażone: Czy to wojna?
To nie wojna – mówię –
to powitanie Nowego Roku*

Nawiasem chciałem powiedzieć, że Janusz Marjański powoli tracił pamięć, mowę, wzrok, w końcu świadomość swej tożsamości. Żona pisze tak:

*Te oczy które patrzą a nie widzą
Język który daremnie chce wysuptać słowo
ze znanych sylab tworząc mowę nową
Powtarzane pytania o własne nazwisko
Niemożność odpowiedzi na pytanie cudze
Zagubiona tożsamość Nieobecna bliskość
Najbliższy jeszcze choć nie ten sam człowiek
I ty przy nim
z nadzieją chociaż nie masz złudzeń
Wciąż pytasz chociaż wiesz już że ci nie odpowie
Wciąż próbujesz ożywić umysł który gaśnie*



Ludmiła Marjańska
„Żywica”, Czytelnik,
Warszawa 2001

Z innego wiersza (teksty nie mają tytułów):

*Zastępuję mu oczy
ale on widzi nimi inaczej
blask go razi
zielen szarzeje
świat stracił barwy
potrawy smak
Nie słyszy stukania dziecięcia
moich słów niecierpliwych
został jeszcze dotyk
Gładzi moją dłoń
gdy prowadzę go za rękę
ku nieuniknionemu*

Cierpienia kogoś, kto patrzy latami na powoli konającego są zapewne większe, ponieważ ten patrzący (tu: patrząca) ma pełną świadomość, wyobraźnię oraz miłość, która w tym przypadku staje się, dzięki empatii, nie tylko normalnym współczuciem, lecz w s p ó ł d c z u w a n i e m o niezwykle silnym natężeniu.

*schodzę na dno współczucia
krok po kroku
kamieniejąc*

Ileż trzeba opanowania, uporczywości, zaparcia się, żeby wytrwać:

*Lekcje cierpliwości
stają się coraz trudniejsze
Po kursie ubierania i golenia
dochodzi sztuka karmienia łyżką
Nie będzie już wykładów
o różnicy między
błyszczącym grosikiem
a brzydkim banknotem
przepytywania
z imion i nazwisk
czy zawstydzających
ćwiczeń gimnastycznych
przy wchodzeniu do wanny
Nie będzie już lekcji
zakładania butów
na właściwą nogę [...]

Z każdym dniem
będzie umiał
coraz mniej
Codziennie
będę zdawać egzamin
z cierpliwości*

Poetka (równa podmiotowi lirycznemu) podnosi indywidualne zrzączenie na wysokość ludz-

kiej egzystencji, uogólnia niedolę jednostki – do całego rodzaju. Wypowiada mnóstwo globalnych twierdzeń o charakterze humanitarnym: „Ból jest po to żeby zrozumieć/ cierpienie innych, w dramacie codzienności/rozpacz i radość/w jednej godzinie, „im większy ból tym mocniejsza radość” itp.

Cierpienia chorego się skończyły. I co dalej? Zanim odpowiem na to pytanie, przytoczę jeszcze w całości wiersz, który nie wymaga komentarza:

*Biała emalia przykryta powieką
jak zatrzaśnięte ponad światem wieko
Ucho na wieki pograżone w ciszy
żadnego słowa żalu nie usłyszysz
Dłoń sztywne palce jak tafelki lodu
nie otworzą już furtki znanego ogrodu
Znajome ciało nieruchome ręce
ciepłym uściskiem nie obejmą więcej
Zabrakło wzroku słuchu i dotyku
jedynie martwe usta otwarte do krzyku*

Wiersz przerażająco piękny. Przerażająco konkretny. I co dalej? Dalej toczy się życie, pachną kwiaty, „jest zieleń w stubarwnych odcieniach”. Ale dla osamotnionej „Každy dzień jest otwartą raną/jak czarne wnętrze tulipanu”. „Jak gdyby wyschło źródło/przestał śpiewać drozd.”

Jest zima za oknem biel śniegu, ale poetka oparta ramionami o parapet patrzy w ciemność i szepce chłodnymi wargami:

*Może cię swoim bólem
w zimnej ziemi otulę
Może cię jasną nadzieją
myśli moje ogrzeją*

Podchodzi do biblioteki, machinalnie bierze jakąś książkę, otwiera i czyta początek najpiękniejszego liryku Mickiewicza: „Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę.” I ona nie może się rozstać. Została sama i osamotniona, choć tyłu ludzi wciąż zabiega o jej względy. Lecz żyć musi (kwestia światopoglądu) i nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnęła pisać. Naprawdę, poezja może być kołem ratunkowym, przynosić ulgę: „Wyszarpać ten wiersz spod żebra/to jakby rodzić zmarłego Adama/od niego świat się zaczął/lecz na nim nie skończył”. [...] „Wiersz jak sen/przywraca życie zmarłym”.

W bólu, samotności, ciszy odzywają się tylko reminiscencje, roją się wspomnienia, „leczą pszczoły pamięci” z wszystkich lat wspólnego życia. Ona zdaje sobie sprawę z praw kierują-

cych ludzkim losem: „Nic ciebie nie przywróci/Tylko pamięć wraca”.

Właściwie cytowanie fragmentów nie ma sensu. To tylko połowiczny, powierzchowny zabieg zapoznania się z tragiczną, a okrutnie piękną treścią „Żywicy”. Trzeba czytać wiersz po wierszu, by się przekonać jak kosmicznie wielka bywa (nie u wszystkich) psychika.

W witrynach księgarń częstochowskich nie widziałem tej książki. A szkoda. Ludmiła Marjańska z tego przecież miasta pochodzi. Tu się urodziła, tu przeżyła swoją młodość, tu (o ile się nie mylę?) poznała swego męża – Janusza.

Dawno nie czytałem tak bezlitośnie wzruszającej poezji.

Dawno? Chyba nigdy! ■



WYŁYSIAŁE KUKUŁKI

Wioletta Grzegorzewska

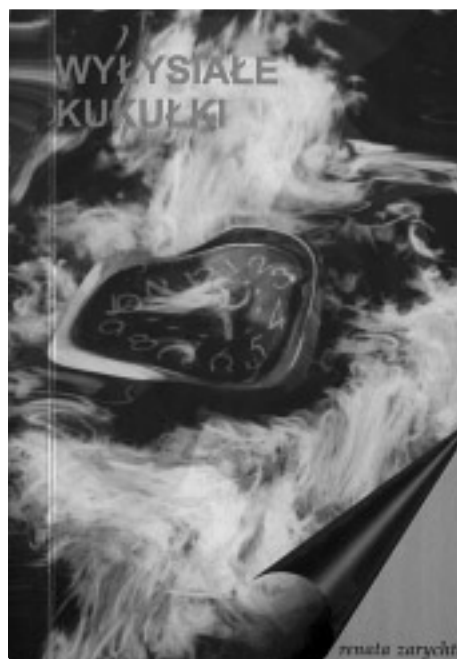
Wydaje się, że częstochowscy debiutujący poeci upodobili sobie motywy ornitologiczne. W tomiku Arka Frani pt. „Na przykład mnie nie ma” ptak „błękitnieje w locie”, a podmiot liryczny lubi identyfikować się z ptakiem. W roku 1999 ukazał się tomik poetycki Izy Bulskiej zatytułowany „Kruki”, a wkrótce na półkach księgarni pojawi się książka poetycka Renaty Zarychty pt. „Wyłysiałe kukułki”.

Kukułki w wierszach Renaty symbolizują upływający czas: „W zasuszonych zegarach wyłysiałe kukułki...” – Prawdopodobnie nie przypadkowo też na okładce tomiku widnieje zdeformowany zegar. W krótkich obrazkach-wierszach podmiot liryczny kontempluje szarą codzienność, analizuje relacje międzyludzkie, demaskuje wzorce zachowań. Niekiedy dla „zabicia czasu” bawi się słowem w lingwistycznych wierszach pt.: „Sąsiedzi”, „Ikar”, „Ogólnie”. Rzadziej w swoich rozważaniach nawiązuje do kultury – wyjątkami są wiersze o Piłacie, Mona Lisie, Guerenice itd. Na uwagę zasługuje wzruszający cykl utworów tzw. „powypadkowych”. Bohaterami są osoby, które przeżyły wypadek: *** julia krzyczała, *** śpieszyła się, „tytani”.

Poezja Renaty Zarychty kojarzy się z pracami grafików, którzy potrafią za pomocą jednej kreski wyrazić swoje uczucia, namalować pejzaż. Poetka nie szafuje wyszukаныmi metaforami. Raczej oszczędza słowa, posługuje się elipsami. Jej skróty myślowe mogą jednak wyprowadzić czytelnika na manowce. Po przeczytaniu trzydziestu utworów ma się uczucie niedosytu. Jakby po

wyraźnej puencie, która często zamyka te krótkie utwory, wiersz istniał wciąż w pustej przestrzeni kartki.

Ciekawostką jest fakt, że w książce poetyckiej, w której czas stanowi wartość uniwersalną nie znajdziemy żadnej daty [na przykład daty wydania tomiku]. Autorka nie podaje też informacji na swój temat. Woli pozostać w cieniu wierszy „dając sobie czas na ucieczkę”. ■



„Wyłysiałe kukułki”,
Renata Zarychta,
Wydział Kultury
i Sztuki Urzędu
Miasta Częstochowy,
Częstochowa 2001



FIOLET I RÓŻ

Sławomir Burszewski

MAMY KOLEJNEGO CHOREGO ZARAŻONEGO wirusem literatury. U schyłku lata Konrad Ludwicki, świeżo upieczony doktor filmoznawstwa UŚ, opublikował zeszyt opowiadań pt. *Fiolet*. Skromnie, acz schludnie wydany, z ilustracjami A. Zająca, ucieszył mnie, bo znam Konrada i śledziłem jego zmagania z piarstwem przez ostatnie pięć lat. Jest to więc podsumowanie jego poszukiwań twórczych. Po lekturze stwierdziłem, iż Konrad ma dwa oblicza literackie, niczym dr Jekyll i mr Hyde. Pierwsze pokazuje nam człowieka unurzanego w świecie nizin społecznych i mętów. Turpistyczne obrazki pijackich libacji w okolicach dworca PKP przeplatają się z drastycznymi opisami pracy w prosektorium przy balsamowaniu zwłok.

Konrad Ludwicki, „Fiolet”,
Wydawnictwo „e-media”,
Częstochowa 2001

Rzeczywistość pozabawiona nadziei, postaci wykołajców, nieudaczników, skrzywionych dewiantów wywiera na czytelniku przygnębiające wrażenie. Polska B z pietyzmem odtworzona w całej swojej brzydocie nasuwa też podejrzenie właściwe w przypadku prozy trzydziślatka: czy nie jest to próba rozliczenia się ze swoim pokoleniem i pokiereszowaną młodością? A może silny wpływ Stasiuka? Jaśniejszy punkt to opowiadanie „Pia”, poruszająca opowieść o kalecztwie i malarstwie. W pisaniu Konrada jest dużo smutku, eg-

zystencjalnego cierpienia, rozczarowania prawdą przemijania. Powiedzmy sobie szczerze, jest to postawa dosyć młodzieńcza, werterowska, bliska tragedii. Jej zapowiedź autor umieścił już w motcie Rousseau: „Człowiek urodził się wolny, a wszędzie jest w okowach”. Tytułowy fiolet jest kolorem żałobnym i takich motywów w książce nie brakuje. Wrażliwy czytelnik może złapać tzw. „doła”, więc nie każdemu polecam „Fiolet”.

Zeszyt zawiera utwory starsze, mniemam więc, że Ludwicki odchodzi od stylistyki „wojującej rozpaczki” ku klasycznym miniaturkom w stylu np. „Dymnika”. Tu objawia się druga twarz Konrada: człowieka ułożonego, czytelnego, towarzyskiego, który „poczęstowałby herbatą z malinami i ptysiem, uśmiechał się i dolewał ponczu do kieliszków”. Krótkie w formie, mocne w treści, o przewrotnej puencie, nie pozabawione odrobiny czarnego humoru mogą zadowolić nawet takiego malkontenta jak ja. Przeważają miniwykłady o kobietach i samotności dzięki swojej pompatyczności ujawniają talent parodystyczny autora. Jest też fabułka oparta na scenariuszu gry komputerowej, której esencja streszcza się do wyłączenia monitora o drugiej w nocy. W tym drugim nurcie widzę dla Ludwickiego przyszłość i pole do popisu. Jako humorysta powinien śmiało szarpać kolejne bardzo świeże tematy, gdyż jest warsztatowo sprawny i nie ma problemu z dobieraniem trybu narracji, różnicowaniem dialogów itd. Wcześniej zdarzało mu się na tragicznej nucie przeszarżować, jak słusznie zauważył prof. Giedroyc. Sporo do życzenia pozostawia staromodny erotyzm w „Spotkaniu”, a zdań typu „nienasycone ciała płonęły rządzą” nie powstydziliby się niejeden pisarz młodopolski. Dlatego apeluję do Konrada, aby pisał z umiarem i na chłodno, wtedy uniknie drażniącej emocjonalności w tekście. A poza tym Ludwicki jest świetnym kolarzem: w czerwcu w ramach pielgrzymki rowerowej dojechał na dwóch kółkach do Rzymu!■



Wspomina

MAŁGORZATA STARCZEWSKA- OWCZAREK

DLACZEGO WŁAŚNIE CZĘSTOCHOWA? Bo ja jestem stąd. A zaangażowałam się do teatru przypadkiem, rzadko ktoś angażuje się w ten sposób. Byłam wtedy jeszcze studentką Akademii Muzycznej w Katowicach, ale już byłam solistką Operetki Gliwickiej. Przyjechałam kiedyś, był maj, pięknie, ptaki śpiewały, kwitły drzewa, wysiadłam koło kościoła św. Jakuba. W maju jest to chyba najpiękniejsze miejsce w Częstochowie. Ja, taka szczęśliwa że jestem w moim mieście ukochanym, a rzadko miałam okazję przyjeżdżać, bo studiowałam i pracowałam, więc nie było na tyle czasu, wychodzę z autobusu, pędzę szybko ulicą Kilińskiego. Idzie za mną jakiś mężczyzna, w sile wieku, im ja szybciej, tym on szybciej i nagle obcesowo do mnie mówi: „Oj, przydałaby mi się taka dziewczyna w teatrze”. Tak sobie powiedział, maj mu pewnie w sercu zagrał, a ja nie poznałam, kto to jest. Odwróciłam się. „No jak to, taki młody, bezczelny człowiek, jak on do mnie mówi” – myślę sobie. „Z kim mam przyjemność, bo jestem solistką Operetki Gliwickiej i bardzo by mi odpowiadała praca w teatrze. Z kim mam przyjemność?” A on mówi: „Jestem Tadeusz Bartosik, dyrektor teatru”. Wtedy dopiero mi się głupio zrobiło, bo tę postać zawsze kojarzyłam z telewizji, z filmów. Zagrał mnóstwo ról znanych, pięknych, wielka postać i wspaniała osobowość. Wtedy niemal na kolana padłam przed nim, i mówię: „Bardzo przepraszam, panie dyrektorze, ale rzeczywiście, chętnie bym przyszła tutaj do Częstochowy, tyle, że ja jestem śpiewaczką. Co prawda, po wydziale wokalnno-aktorskim, ale co ja tu będę robiła?” – „A przecież my będziemy wystawiać sztuki muzyczne i jeśli tak, to ja panią kupię od Tokarskiego”. Sam to załatwił – ja się bałam coś powiedzieć mojemu dyrektorowi. Ale to jest moje rodzinne miasto i chciałam do niego wrócić. Nie zdawałam sobie sprawy, że tą decyzją właściwie odchodzę od śpiewania, bo póki żył dyrektor Bartosik, to rzeczywiście śpiewałam w teatrze dużo, podobałam się ludziom,



lecz kolejni dyrektorzy jakoś niespecjalnie palili się do przedstawień muzycznych. Mimo, że Bartosik był z Warszawy bardzo tu dbał o ludzi. Wyśiadywał jak jajo ten teatr, to był taki inkubator. Bardzo chciał, żeby wszystkim było dobrze. Potem ten wspaniały zespół rozproszył się i to już było nie do odbudowania.

Tak, bardzo mi tu było dobrze i uważam, że to były cudowne czasy teatru częstochowskiego. Pod względem artystycznym teatr szedł w górę, wystawiane były przedstawienia na wysokim poziomie. Był wtedy wspaniały zespół dobrych aktorów w tym starym stylu, z tradycjami. Teatr był jeszcze z tradycjami, miałam szczęście w takim występować. Chociaż wspaniały gospodarz, a takiego jak pan Jan Kempa nigdy już ten teatr mieć nie będzie, zaczął remont i warunki do pracy były bardzo trudne, ale, o dziwo, w tych bardzo trudnych warunkach wykuwało się takie cudowne kwiaty, piękne przedstawienia i ludzie wtedy uwielbiali ten teatr. Poczytywali sobie za punkt honoru zaprzyjaźnić się z aktorem, spotykać się z nim prywatnie. Była taka Kawiarnia Teatralna, gdzie młodzież przychodziła poznać wielkich aktorów. Takim idolem młodzieży był

Małgorzata Starczewska-Owczarek – dziś
(fot. Paweł Gładys)



„Kłopoty zbója Madeja”
reż. Irma Czaykowska
sez. 1978/79 (fot. arch.)

Wiesław Ochmański, bardzo się podobał dziewczynom, czy z młodszych Wojciech Romanowski. Mieliliśmy swoje miejsce, gdzie mogliśmy przyjść i spotkać się tak od kuchni z publicznością. Teraz tego nie ma, teraz w ogóle zrobiło się tak, że modne jest angażować do filmów zwykłych ludzi, nieprofesjonalistów. Jest mile widziane, że na scenie są tacy sami ludzie, jak na widowni. Kiedy ja grałam w teatrze, ludziom była potrzebna właśnie ta inność, teraz publiczność nie jest taka wymagająca. Mimo, że wtedy była duża konkurencja, teatr telewizji i Filharmonia, jednak była publiczność w teatrze i to były naprawdę cudowne czasy. Byłam tu tylko trzy sezony. Niewiele sobie pograłam, bo urodziłam dwoje dzieci, jedno po drugim, zwołam się z teatru i przeszłam do WSP, gdzie pracowałam jako asystent, potem skończyłam studia podyplomowe pedagogiczne. Dyrektor z żalem wyraził zgodę na moje odejście i wypowiedział takie prorocze słowa: „Zobaczysz, mała, ty już do teatru

nie wrócisz”. A ja na to: „Ależ skąd, to tylko dwa, trzy lata, odchowam sobie dzieci i natychmiast wracam. Ja bym bez teatru nie mogła żyć”. Gdybyśmy nie mieli z panem Tadeuszem Bartosikiem takich planów muzycznych, to ja bym pewnie nie odeszła z Gliwic, z operetki i nie przyszłabym tutaj. Owszem, sentyment do miasta rodzinnego i blisko mamy to zawsze jest dziewczynie łatwiej, ale tu były ogromne, szerokie plany dyrektora – tu miała powstać scena muzyczna i coś na kształt dziecięcego świata, w którym dyrektor mnie widział. A potem nie było na to pieniędzy, ja zajęłam się swoim osobistym życiem, rodzeniem dzieci i tak się potoczyło. Rzeczywiście przydałoby się coś podobnego.

Do teatru już nie wróciłam. Nie narzekam, żał tylko wielki mam, że spełniło się to proroctwo pana Bartosika. Oczywiście współpracowałam z teatrem, gdzie mogłam, to się przyklejałam, bo mi brakowało sceny i tej atmosfery. Nawet miałam sukcesy, muszę się pochwalić.

Otóż wystawialiśmy, to znaczy nie ja, ja zaledwie małą częścią się przyczyniłam, „Bał manekinów”, który był zauważony w Polsce. Nasz teatr pojechał z tym spektaklem na Festiwal Teatrów i został laureatem, choć nie pamiętam, które miejsce zajął. Mam jeszcze recenzję z pisma „Teatr”, gdzie bardzo pięknie byliśmy opisani i aktorzy, którzy wspaniałe role stworzyli, i cały spektakl. Druga część była częścią muzyczną. Moja rola polegała na tym, żeby nauczyć aktorów śpiewania partii muzycznej. Było to trudne przedsięwzięcie – muzyka współczesna, bardzo arytmiczna, ale aktor to taka istota, która gdy czegoś nie umie, to sobie to „wygra” aktorsko. Gdzie mogłam, to śpiewałam, dawałam swój głos aktorom. Teatr zmienił się. To już nie jest tamten teatr w dawnym stylu, gdzie gdy szedł czołowy aktor, gwiazdor, mistrz to wszyscy inni bokiem korytarza chodzili. Mnie się to bardzo podobało, ja sama z wielkim szacunkiem zawsze się odnosiłam do aktorów, od których się wiele nauczyłam. Potem już tego nie było. Teatr stawał się fabryką, w której produkowano spektakle i to już nie były, jak za moich czasów, dzieła sztuki. Był taki okres, kiedy prawie cały zespół przyszedł z Opola. To było mocne uderzenie, ale potem znowu zespół rozpadł się.

Po urodzeniu dzieci chyba nie wróciłabym już do śpiewania, poczułam się taką mamusią, że śpiewanie nie było mi już potrzebne, ale mnie zmusił dyrektor szkoły muzycznej. Teraz jestem mu wdzięczna, ale wtedy tak byłam zajęta butami dla dzieci, olejem, mąką, mlekiem w proszku, że całkiem odeszłam od artystycznych klimatów. Teraz cały czas koncertuję, mie-wam recitale, czasem zapraszają mnie gdzieś do jury.

Pierwsze kroki? Debiutowałam u boku pana Stanisława Ptaka, wielkiego mistrza, od którego się wiele nauczyłam i z którym przyjaźnię się do dziś. Ma już ponad siedemdziesiąt lat. Zaprosił mnie niedawno na spektakl do Teatru Rozrywki w Chorzowie, byliśmy z całą rodziną. Gra główną postacią w „Skrzypku na dachu” – prawie trzy godziny na scenie. Niesamowita osobowość, wspaniały głos. Kiedy zjawiłam się w operetce, zaopiekował się mną i do tej pory jest bardzo opiekuńczy i pomocny. Od wspaniałych aktorów młodzi ludzie mogą się więcej nauczyć niż na studiach. Studia dają podstawy, abecadło, a rzemiosła człowiek uczy się od dobrych aktorów. Choć różnie to bywa, nie wszyscy koledzy byli tacy życzliwi. Przeszłam odpowiednią szkołę od niektórych, ale o nich nie chcę wspominać.

Debiut w Częstochowie? Moją pierwszą rolę w tym teatrze była uroczą postacią królowny Sasanki w „Kłopotach zbója Madeja”. Oczywiście już potem miałam pseudonim „Sasanka”. Byłam już matką, a też na mnie „Sasanka” wołali. A ta królowna tak wpadła w serca dzieciom w Częstochowie, że pamiętam, jak przychodziły do mnie córki koleżanek i mówiły, że śniła im się Sasanka. Ja miałam, sama to wymyśliłam, a reżyser zatwierdził, różową sukieneczkę, niebieski płaszcz, różową peruczkę i piękną koronę. Dzieci były tak zakochane w Sasance, że kiedy miałam wypić truciznę, mały chłopczyk wpadł na scenę z wielkim impetem, wyrwał mi kubek: „Nie pij Szaszanko, nie pij Szaszanko!”. Graliśmy „Kłopoty zbója Macieja” ponad sto pięćdziesiąt razy, co było wielkim ewenementem – jak przedstawienie szło sto razy, to już był sukces. Na pierwszą moją premierę w tym teatrze pan Piotruś, wspaniały rekwizytor, już nie żyje, poperfumował mi sztuczne kwiaty powbijane w podłogę, które miałam zbierać w pierwszej scenie, bo jakoś nie miałam do nich przekonania, a ponieważ pierwsze wejście jest takie ważne i kontakt publiczności ze mną, pierwszy raz mnie w ogóle publiczność zobaczyła w Częstochowie na scenie, a była to publiczność dziecięca i poperfumował mi te kwiatki. Bardzo mnie to rozbawiło i potem cały czas grało mi się już cudownie. Nawet jak już kwiaty nie pachniały, traktowałam je jak cudowny, pachnący bukiet – to jest ta magia teatru. Grałam również w „Lezternie”. Przedstawienie lekkie, łatwe i przyjemne, przyciągające ludzi do teatru, taneczne. Grałam główną postacią – Kate, czyli Kasię, córę preerii. Nasze przedstawienie było porównywane z warszawskim i muszę pani powiedzieć, że często na naszą korzyść. Grałam też w „Przygodzie sylwestrowej”. Byłam już wtedy w zaawansowanej ciąży, a grałam panią i musiałam cały czas grać w futrze, chociaż był czerwiec. Grałam również, choć tylko epizod, ale bardzo się cieszę, bo to było piękne przedstawienie, w „Domu Bernardy Alba”, Czaplanka miała w nim piękną rolę, znakomita aktorka i bardzo dobrze grała. Pani Czaplanka była też bardzo życzliwa młodym dziewczynom w teatrze, ja przynamniej bardzo mile spotkanie z nią wspominam. Traktowała mnie bardzo po przyjacielsku, dużo się od niej nauczyłam. Bardzo mile wspominam również inspijenta, pana Bodziachowskiego, który opiekował się mną, odprowadzał do domu i państwa Kocińskich. Ona była fryzjerką, a on szefem pracowni perukarskiej. To byli ludzie teatru. Nie by-



Recital w auli
szkoły muzycznej
w Częstochowie (1980),
przy fortepianie
Henryka Zasempa
(fot. arch.)

ło tak, że się pracowało od – do i do domu, a przecież za grosze się pracowało. Moja garderobiana, Alusia, miała nieprawdopodobne poczucie humoru, a nie miała łatwego życia, obowiązkowa bardzo, zawsze pierwsza przychodziła.

Jak trafiłam do Filharmonii? Gdy jeszcze byłam studentką, moja profesorka często jeździła do Częstochowy i miała tu dużo koncertów. Śpiewała też w audycjach muzycznych dla dzieci. Ponieważ profesor Michalina Growiec często nie mogła śpiewać w wyznaczonych terminach, mnie wysyłała, a ja radziłam sobie z repertuarem dziecięcym. Wtedy poznałam publiczność dziecięcą i bardzo mi się te koncerty podobały, zauważyłam też, że dzieci bardzo mnie polubiły. Na moim pierwszym występie, koncercie wiosennym, miałam niebieską sukienkę i bukiet fiołków. Dla dzieci to jest ważne i śpiewałam „Powitanie wiosenki” Noskowskiego. Potem, przez długi okres, kiedy przyjeżdżałam do Częstochowy, a gdzieś w autobusie zobaczyły mnie dzieci, wołały „Pani Wiosna, Pani Wiosna”. Nawet teraz spotkałam mamę, która już ze swoją córką przychodzi i ona pyta: „A czy pani pamięta, jak taka

mała darła się za panią w autobusie ‘Pani Wiosna!’ – to ja byłam.” To już drugie czy trzecie pokolenie mnie słucha. A publiczność dziecięca jest bardzo wymagająca, bo dorośli, nawet jak coś jest nie tak, z grzeczności przymkną oko, a dzieci – nie, dzieci nie mają żadnego interesu, żeby cokolwiek artyście darować. Jak coś jest nie tak, natychmiast to okazują. Kiedy już pracowałam tutaj w teatrze, też śpiewałam, bo byłam na miejscu i kontakt ze mną był łatwy. Miałam piękny recital z orkiestrą na górze, bardzo miłe mam wspomnienia związane z Filharmonią, mimo, że pracowałam jako aktorka. Śpiewałam, gdzie tylko się dało, nie byłam jeszcze taką opatrzoną, znudzoną twarzą i wszędzie chcieli mnie słuchać. Potem pani Kamila Kiełbińska, znakomity prelegent, niedościgniona mistrzyni fachu, a nie bardzo lubiła koncerty dla małych dzieci, otworzyła mi oczy na to, że ja także mogę prowadzić konferansjerkę. Parę razy poprosiła mnie o zastępstwo. Spodobało się młodzieży i potem pani Kamila coraz częściej prosiła mnie o zastępstwo, miała dużo obowiązków, a coraz mniej czasu, aby przyjeżdżać tutaj i gościnnie prowadzić audycje. Kiedyś powiedziała mi, że widzi mnie tu, bo przecież śpiewania nie jest za dużo, a program co miesiąc i kto wie, czy kiedyś w ten sposób nie będę na chleb zarabiać. Trochę się poczułam dotknięta – jak to, ja, śpiewaczka, żebym się miała zajmować kierownictwem muzycznym, gadaniem. Ale dyrektor Filharmonii, Zygmunt Hassa, zaproponował, żebym to przemyślała. Przeszłam tu na etat i chyba do emerytury dołączę w tej firmie. Zresztą firma wspaniała, publiczność mam cudowną, zżyta, rośnie razem ze mną ta publiczność, tylko oni wzwyż, a ja wszędy. Ja o tych dzieciach wiem wszystko, może nawet napiszę kiedyś książkę na temat mojej publiczności. Teraz zmieniałam formę spotkań, to są właśnie czasem takie kabarety, całe spektakle dla dzieci – pantomimę dziecięcą przygotowało przedszkole, różne zespoły występują, że wspomnę „Niezapominajki”, maleńkie dzieci, które bardzo się podobały, bo dzieciom zawsze się podoba, jak inne dzieci dla nich występują, one się wtedy czują lepsze. Praca z dziećmi jest bardzo miła. Dziś dzieci są bardziej samotne, skarżą mi się, że nikt im bajek nie czyta. Rodzice sadzają je przed telewizorem i już. Dlatego zapraszam aktorów, żeby dziecko miało kontakt z pięknym głosem, z pięknym słowem, a nikt nie potrafi piękniej mówić niż aktorzy. ■

Wysłuchała Małgorzata Kaczanowska

Tam, gdzie biją słoneczne zegary

Andrzej Kalinin

JEST W POLSCE TAKIE NIEZWYKŁE MIASTO, od lat sławne w świecie dzięki unikalnej kolekcji słonecznych zegarów. Ściąga tu corocznie sporo ciekawskich, bowiem jest w tych staroświeckich czasomierzach coś mistycznego i zarazem irracjonalnego w zestawieniu z naszymi współczesnymi zwyczajami rachowania upływającego czasu.

Zapewne dlatego tak bardzo zachwycali się tym miejscem wielcy artyści, pisarze i poeci, a ślady ich bytności w Jędrzejowskim Muzeum znalazły się potem w dziełach literackich nie tylko polskich.

Bywał tu często Władysław Broniewski, który w swoim poemacie „Wisła” napisał pięknie: „...biją słoneczne godziny w Jędrzejowie, a mnie i tobie biją zegarowie”.

Zachwycił się tym miasteczkiem Jean Anouhli, światowej sławy dramaturg francuski, który o Jędrzejowie i jego słonecznych gnomach mówi w jednej ze swoich sztuk. Bywał tu również Joan Staibek, pisarz amerykański, Wojciech Żukrowski i wiele, wiele innych znakomitości. Czasomierze słoneczne stały się więc sławą i znakiem rozpoznawczym tego niewielkiego, kieleckiego miasteczka. Opiekuje się nimi i już prawie trzydzieści lat ustawia ich „werki” wielki znawca tej sztuki, jedyny bodaj w Europie słoneczny zegarmistrz, dyrektor jędrzejowskiego Muzeum, pan Piotr Maciej Przyppkowski. Z wykształcenia historyk sztuki, ale z zamiłowania i tradycji rodzinnych również astronom, a przy tym wszystkim człowiek przeuroczy, z niegdyśszą już galanterią w byciu, słowie i obcowaniu z ludźmi. Tak, tak. Jest to rodzony syn owego legendarnego już dra Tadeusza Przyppkowskiego, o którym mówi się w socjalistycznej Polsce, że był to

Ostatni Szlachcic Rzeczypospolitej.

Była to bowiem osobowość niezwykła. Wyglądem przypominał sienkiewiczowskiego Zagłobę, który tylko przez pomyłkę zawędrował w XX wiek. Wesoły, rubaszny, kochający życie,

z olbrzymim poczuciem humoru. Dowodów na te przymioty w legendach o doktorze Przyppkowskim nie brakuje. Kiedyś na przykład, jedna z krakowskich gazet zamieściła reportaż z Jędrzejowa, w którym napisano, że „po godzinie osiemnastej życie w miasteczku zamiera. Tylko doktor Przyppkowski, zataczając się po ćwiartce, wraca z gospody do domu”. W miasteczku zawrzało z oburzenia. Burmistrz wręcz nakazał Przyppkowskiemu natychmiastowe i publiczne zdementowanie tego niecnego i obraźliwego pomówienia. I rzeczywiście w tydzień potem owa gazeta takie dementi opublikowała:

„Nawiązując do reportażu z dnia tego i tego, w którym napisano, że po godzinie osiemnastej doktor Przyppkowski wraca do domu, zataczając się po ćwiartce, chciałbym uprzejmie wyjaśnić, że jeszcze nigdy żaden Przyppkowski po ćwiartce się nie zataczał”.

I to był cały doktor Przyppkowski, ostatni niezależny i z wielkim poczuciem humoru człowiek w dawnym PRL-u.

Oprócz unikalnego w świecie Muzeum Słonecznych Zegarów zostawił jeszcze po sobie legendę i całą masę uciesznych dykteryjek, opowiadanych chętnie przez wszystkich prawie jędrzejowian. Podobno kiedyś w Warszawie, na bankiecie po jakimś zjeździe ludzi sztuki i kultury, ówczesny premier – Józef Cyrankiewicz zapytał doktora Przyppkowskiego:

– Jak się panu tam żyje w tym Jędrzejowie, panie Tadeuszu?

A na to Przyppkowski:

– To małe miasteczko, panie premierze, więc przeważnie z żoną.

Kilka lat temu, na wspólnym spotkaniu autorskim w Bibliotece Miejskiej w Lublińcu, Wojciech Żukrowski opowiedział mi o pewnym zdaniu.

Jakoś po roku 1965, czyli w okresie tzw. „odwilży”, kiedy próbowano w Polsce nadać socjalizmowi „ludzką twarz”, Stowarzyszenie Historyków Polskich postanowiło zorganizować w Krakowie na Wawelu swój odnowicielski kon-

gres. Zaproszono ludzi wcześniej usuniętych z tego gremium, a wśród nich doktora Tadeusza Przypkowskiego. Pojechał. Szedł z dworca kolejowego na Wawel piechotą, więc po drodze dla kurażu łyknął sobie trochę w tej i tamtej knajpce. Spóźnił się oczywiście na ceremonię otwarcia obiad, bo jak mówiono, lubił mieć zawsze swoje grande entree. Stojący przy drzwiach, dla uświetnienia kongresu, halabardnik otworzył je i zaanonsował:

– Przybył doktor Przypkowski z Jędrzejowa.

Przypkowski zatrzymał się na progu sali, spojrzął na stół prezydialny, zobaczył, że siedzą tam te same ideologiczne dzierzymordy co poprzednio, więc zapytał głośno swoim tubalnym i trochę ochrypłym głosem:

– Wejść, czy nie wejść?

– Ależ tak, prosimy, panie doktorze – zawołano od prezydialnego stołu.

A na to Przypkowski:

– Nie was się pytam. Własnego sumienia się pytam. – Odwrócił się i wyszedł.

Przypkowsy z Jędrzejowa

Są od setek lat związani z Jędrzejowem i głównie im to położone nad Brynicą miasto zawdzięcza swoją sławę i znaczenie. Miłość do gwiazd i słonecznych zegarów jest w rodzinie Przypkowskich dziedziczna. Kolekcjonowanie tego typu czasomierzy rozpoczął jeszcze przed pierwszą wojną światową dziadek dzisiejszego dyrektora, Feliks, lekarz z zawodu, a astronom z zamiłowania. Jego syn, Tadeusz, dzieło ojca uwielokrotnił, wzbogacił i uchronił od obowiązkowej wtedy nacjonalizacji. W okresie realnego socjalizmu w Polsce wszystko musiało być państwowe, socjalistyczne, a on mimo to utrzymywał swoje niezależne, prywatne muzeum, gdzie eksponowane były nie tylko zegary słoneczne, ale także nienaruszony przez lata całe, pokój gościnny, w którym ponad 10 dni rezydował w roku 1915 komendant I Kadrowej, brygadier Józef Piłsudski. Wróg publiczny numer jeden wszystkich polskich, i nie tylko, komunistów.

W szarzyźnie PRL-owskiej codzienności był doktor Tadeusz Przypkowski postacią bardzo barwną, kontrowersyjną nawet, ale w dziedzinie historii sztuki cieszył się autorytetem ogromnym również na zachodzie Europy, gdzie wyjeżdżał często i to mimo paszportowych i dewizowych ograniczeń. Znano go tam także jako wybitnego numizmatyka, heraldyka, grafika. Był autorem

cenionych druków ekslibrysowych, które znalazły się na okładkach książek i albumów Mauricego Meterlincka czy Elżbiety, królowej Belgów. Miał też w zwyczaju mówić, o królowej angielskiej: „Ela, moja kuzynka”.

Miasteczko z tradycjami

Jędrzejów leży w połowie drogi między Kielcami a Krakowem. Nad rynkiem góruje kopuła wieża stuletniego obserwatorium astronomicznego, w którym od pokoleń po dzień dzisiejszy Przypkowsy obserwują niebo, żeby obliczać kąty padania promieni słonecznych na ich gnomonowe czasomierze, albo nocami oglądają gwiazdne galaktyki.

W budynkach zaś, z których owa wieża wyrasta, mieści się Państwowe Muzeum Słonecznych Zegarów im. Przypkowskich. Zegary są tu wszędzie. W kilku salach, na kilku piętrach leżą za szkłem w gablotach, wiszą na ścianach, stoją na podłodze, zwisają z sufitu, a wszystkie przepiękne w swoim rodzaju. Jedne jak cacka albo dzieła sztuki, inne jak niegdysiejsze jarmarczne zabawki. Bywają maleńkie jak guziki u surduta lub wielkości gdańskiej szafy, są drewniane, szklane, żelazne, złote, na wodę i strzelające armatkami, kiedy słońce stanie w zenicie nieba. I jest tam jeszcze zaskakująca osobliwość, kulturowana w tym miejscu od lat, a mianowicie pokrywane w różnych zakamarkach muzeum mądre i bardzo mądre sentencje życiowe. Kiedyś z lubością umieszczał je tam sam pan doktor Tadeusz Przypkowski, „ku edukacji narodu”, jak podobno mawiał. I być może, nie jeden zwiedzający zrozumiał wtedy na czym polega sens godnego życia.

Ile ja mogłem mieć wtedy lat, kiedy pierwszy raz ze swoją klasą z powszechniaka znalazłem się w tym niezwykłym muzeum? Dziesięć może. Pamiętam, że jedna ze złożonych ram na ścianie zasłonięta była białym materiałem. Aż kusilo, żeby odchylić i zobaczyć co się za nią kryje. A tam był napis: „Ciekawość pierwszym stopniem do piekła”. Napisy zresztą były różne i w różnych, całkiem niespodziewanych, miejscach odkrywane.

W połowie lat sześćdziesiątych minionego stulecia (Boże, jak to dziwnie brzmi i jak było niedawno) byłem u Przypkowskich razem z pisarzem Wojciechem Żukrowskim. Zwiedzaliśmy muzeum, a potem do kolacji podano nam „kotlet Pożarskiego” – wielkiego mistrza dobrego je-

dzenia, na cześć którego Przyppkowski założył nawet Kapitułę Gastronomiczną i ustanowił „Order Pożarskiego”. Nagradzał nim znanych ludzi, a przede wszystkim prawdziwych smakoszy i wytrawnych obżartuchów.

– Jest to najślawniejszy z Polaków – przekonywał nas przy kolacji. – Nie Kopernik, nie Mikiewicz czy Chopin, ale właśnie Edward Pożarski, którego nazwisko wpisane jest w menu każdej zacnej restauracji w świecie.

Gdyśmy już zjedli i nieco wypili, Wojciech Żukrowski zapytał:

– A gdzie wygodka?

– Na końcu podwórka – usłyszał w odpowiedzi.

Stała tam zbita z desek przedwojenna sławojka z serduszkim wyciętym w drzwiach, zamkniętych na haczyk. Gdy delikwent usiadł już na czyściutkich, wyheblowanych deskach ubikacji, zobaczył umieszczony na wprost oczu napis „Made in ZSRR.”

Odważnie. Prawda? Jak na tamte, komusze czasy, kiedy tego typu dowcipy kończyły się przeważnie więzieniem.

Tradycje obowiązują

Od przeszło trzydziestu lat dyrektorem jędrzejowskiego Muzeum Słonecznych Zegarów jest pan Piotr Maciej Przyppkowski, wierny strażnik szlacheckich, rodzinnych tradycji. Lubi fotografować, podobnie jak jego sławny ojciec, który założył w Polsce Związek Artystów Fotografików. Buduje też w różnych miejscach świata słoneczne zegary. Posiadł bowiem niezwykle trudną sztukę ustawiania tych czasomierzy i wykreślenia kształtów na ścianach i placach. Na koncie rodziny Przyppkowskich takich czasomierzy jest sporo, że wspomnę tylko o sławnych siedmiu zegarach słonecznych na budynku Obserwatorium Astronomicznego w Greenwich, zegarach na kościele Mariackim w Krakowie, Zamku Królewskim w Warszawie i wykonanym już przez pana Piotra Macieja Przyppkowskiego zegarze dla zamku Ujazdowskiego w Warszawie.

Nie tylko zresztą stare zegary i jeszcze starsze bibeloty fascynują w tym niezwykłym muzeum. Tradycja obowiązuje również w jedzeniu i napitkach. W domu państwa Przyppkowskich, który od pomieszczeń muzealnych dzieli jedynie progi, znajduje się wiele niedzisiejszych naczyń do smażenia i gotowania, a także sporo staroświeckich przepisów kulinarnych:

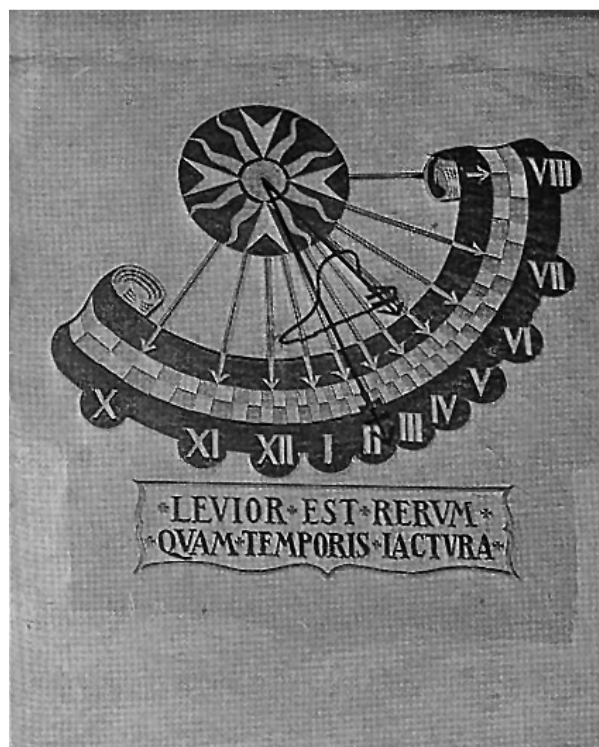
„Weź zebra świeżego, a jak nie masz to łosia – cytuję z opasłej księgi pan Maciej – i wrzuć na ruszt majerankiem usłany”. Podobne przepisy kulinarne znajdują się również w książce autorstwa doktora Przyppkowskiego pt: „Łyżka za cholewą” z pięknymi ilustracjami zaprzyjaźnionej z domem Maji Berezowskiej.

Obecnie Muzeum pełni wiele funkcji służebnych dla mieszkańców Jędrzejowa. Odbywają się tu koncerty wielkich muzyków i spotkania literackie. Przyjeżdżają tu również znani graficy, aby w „drukarni Przyppkowskich” (istnieje taka przy Muzeum) wydrukować na specjalnie czerpanym papierze, ręcznie składane, unikatowe książki.

Pałeczkę pokoleniową w tym muzeum przejmie niebawem najmłodszy syn Przyppkowskich – Jan Aleksander, magister historii sztuki, praktykujący teraz na Zamku Królewskim w Warszawie.

Bo dewizą tego rodu jest sentencja wypisana na głównej ścianie gabinetu Feliksa Przyppkowskiego: „Non habere sed esse” – „Nie mieć lecz być”.

Tę mądrość przekazują sobie Przyppkowscy z pokolenia na pokolenie jako wypróbowaną już receptę na godne życie. ■





JERZY CYRENEJCZYK

Władysław Ratusiński

Fotografie Zbigniewa Sawicza pochodzą z archiwum o. dra Jana Golonki, kustosa zbiorów sztuki na Jasnej Górze.

DZIEN 8 WRZEŚNIA 2001 R. – ŚWIĘTO Narodzenia Matki Bożej – niewątpliwie przejdzie do historii Jasnej Góry. Może to być również ważna data w historii sztuki polskiej. Piszę te słowa pod świeżym wrażeniem uroczystości poświęcenia stacji Drogi Krzyżowej w górnej części kaplicy jasnogórskiej.¹ Wspaniale przygotowane wnętrze pomieściło cykl obrazów Jerzego Dudy-Gracza.

Atmosfera wernisażu, nieunikniona zapewne przy takiej okazji, nie odpowiadała bolesnej treści Drogi. Z dobrego samopoczucia usiłowały wyrwać zgromadzonych teksty Ernesta Brylla, recytowane przez aktorów i samego poetę podczas koncertu w bazylice. Bóg upadł – nic się nie stało. Mistrzowsko wykonany – podobnie jak muzyka – piękny utwór Wojciecha Kilara „Exodus”, natarczywym motywem na długo pozostający w uszach.

Samo dzieło malarskie Profesora – jego wotum – wprost zmusza do myślenia o różnych sprawach życia człowieka, jego odniesieniu do Boga. Jest to dzieło mocno osadzone w życiowych realiach. Nasycone natarczywą interpretacją poszczególnych scen, prowadzącą widza i niemal niepozwalającą mu na własną próbę odczytania. Interpretacja ta, nieraz odkrywczą, wiąże współczesność i historię, treści egzystencjalne i pełną emocji publicystykę.

Wydaje się, że Artysta całą swoją umiejętność, talent i charakter swojego malarstwa włożył w to dzieło – jakby przygotowane przez obyczajową satyrę, prowokacyjną drwinę z pewnych aspektów polskiego życia – a także nostalgiczne wycieszenie niektórych spośród ponad dwóch tysięcy dotychczasowych obrazów.

Zamysł dojrzewał długo. Pierwszy sygnał pojawił się na zorganizowanych przez kuratora zbiorów sztuki na Jasnej Górze, o. Jana Go-

lonkę, sławnych plenerach jasnogórskich lat osiemdziesiątych i na ówczesnej wystawie. Późniejsze wydarzenia – i opcje – polityczne sprawiły, że drogi wydawały się rozchodzić, by jednak znów się spotkać, ku pożytkowi – jestem o tym przekonany – ogólnemu, jak i samych protagonistów.

Pisałem kiedyś o potrzebie wprowadzania dzieł sztuki współczesnej najwyższej rangi w mury jasnogórskie – zresztą próbowałem to realizować. Włączyłem się (1997/98 r.) w działania o. Golonki – przygotowując wystawę, w której wzięli udział wybitni polscy artyści. Tutaj jednak jest coś więcej. Nie tylko czasowa wystawa – ale stała i niezwykle ważny element w samym sercu sanktuarium. Taka decyzja wymagała odwagi. Także ze względu na charakter dzieła Artysty. I tę odwagę wykazali paulini opiekujący się narodowym – i ogólnoludzkim – skarbem, jakim jest Jasna Góra.

Można sobie oczywiście wyobrazić to wnętrze przemawiające – poprzez malarstwo – skupieniem, symbolem, mocą Tajemnicy. Wybrano inną drogę. Z przewagą dydaktyki, natarczywej, czasem nawet natrętnej. Może bardziej zbliżoną do ludowego odpustowego kazania na kalwaryjskich drózkach. Przesyconą treściami społecznymi, narodowymi polskiej historii i współczesności. Z tym wszystkim całość – także dzięki niekonwencjonalnemu podejściu – robi wielkie wrażenie. Taki jest pierwszy odbiór, może najbardziej autentyczny.

Jerzy Duda-Gracz zyskał sobie miejsce wśród najbardziej znanych polskich artystów. Jego twórczość nie od dziś spotyka się z różnym przyjęciem. (Nie mówiąc już o ocenach jego pozaartystycznych zaangażowań). „To literatura, publicystyka, a nie malarstwo”. „Przerost treści nad formą”. „Malarstwo kiepskie, a dobry rysunek”. Inni zachwycają się charakterystycznym sposobem malowania, stwarzającym wrażenie misternej świetlistości („jak on to robi!”) cieniutką warstwą farb nakładanych, z widocznym śladem narzędzia, na przeświecającą biel podkładu (sam artysta mruży oko do publiczności mówiąc, iż oszczędza farby).

¹ Warto podkreślić udział w całej uroczystości najwyższych hierarchów. Poświęcenia dokonał Nuncjusz Apostolski wraz z biskupami. Koncertu wysłuchał m.in. metropolita katowicki abp Damian Zimoń. Z okazji poświęcenia Drogi Krzyżowej wydano bibliofilską tekę z reprodukcjami poszczególnych obrazów i wierszami Ernesta Brylla.

Powtarzam tu niektóre opinie – także niechętnie Artyście – aby pokazać, jak w pewnym sensie kontrowersyjna – choć chyba dla wszystkich zrozumiała – to twórczość. Zapewne i w przypadku jasnogórskiego dzieła opinie będą różne. Nie obejdzie się pewnie bez „szukania pcheł w lwiej grzywie”. Może nawet niektórzy okrzykną Dudowo-paulińskie przedsięwzięcie profanacją miejsca świętego. Jak już powiedziałem – gospodarze wykazali się odwagą. Przełamywać przyzwyczajenia, schematy. Próbować wstrząsnąć ludźmi ze wszystkim już obytymi – a równocześnie przemówić do tych, dla których to jedyna okazja obcowania ze sztuką. Przemówić w sferze religijnej i moralnej, bo takie przecież jest przesłanie dzieła – to nie taka prosta sprawa. Ukazywanie świętości w sposób daleki od tego, do jakiego jednak jesteśmy przyzwyczajeni.

Jerzy Duda-Gracz stara się pomagać w przeżywaniu Drogi Krzyżowej. Te przedstawienia, które mogą szokować, mają z pewnością na celu wstrząśnięcie oglądającym, zwrócenie uwagi na istotę religijnych tajemnic – a także najważniejsze problemy społeczne i indywidualne, ludzkie. Jakże wymowne i piękne jest umieszczenie siebie w roli Szymona z Cyreny pomagającego nieść krzyż Jezusowi! Podobnie działają teksty Ernesta Brylla, z całą ich bezpośredniością, zaskakującą świeżością obrazów i skojarzeń, a chwilami drastycznością sformułowań.

Obserwowany odbiór „Golgoty jasnogórskiej” jest zastanawiającą mieszaniną zachowań typowych dla sali wystawowej i kościoła. Wśród ludzi oglądających obrazy w ciszy lub komentujących je półgłosem przewijają się osoby z książeczkami do nabożeństwa, klękające przy stacjach, modlące się. Do odbioru bardziej wystawowego przyczynia się elegancja wnętrza, sposób oświetlenia obrazów, wyłożona księga pamiątkowa. Z czasem odbiór ten będzie z pewnością ewoluował w stronę modlitwy ze względu na miejsce ekspozycji, ale także dlatego, że same obrazy – przy całym nagromadzeniu, wręcz natłoczeniu postaci i treści – sprzyjają kontemplacji. Ważną rolę odgrywa w tym kolor i światło.

Wymowa dzieła, tak związanego ze współczesnością, nabiera dodatkowego dramatyizmu w kontekście makabrycznych wydarzeń, które tak niedawno w Ameryce przyniosły śmierć wielu ludzi i unaocznily w jaskrawy sposób zagrożenia dla całego świata.

Dzieło Dudy-Gracza ukazujące w tak dosadny sposób cierpienie ludzkie i cierpienie Boga-

-Człowieka zjednoczonego w cierpieniu z ludźmi, nie zmierza jednak ku naturalizmowi, jest jakąś stylizacją, jest rozpoznawalną pracą tego właśnie artysty.

W pewien sposób jest „sztuczne” (to słowo pochodzi przecież od sztuki). Pytanie, czy po pierwszym zaskoczeniu jego oddziaływanie będzie równie silne.

„Golgota jasnogórska” zajmie zapewne odrębne miejsce w polskiej sztuce. Nieodparcie nasuwa się tu inne wielkie dzieło: Droga Krzyżowa w kaplicy kościoła franciszkanów w Krakowie. Jest jeden szczegół, który od razu łączy te dwie, tak pod wieloma względami różne, realizacje Józefa Mehoffera i Jerzego Dudy-Gracza. I co ciekawe – natychmiast, od pierwszej stacji, jakby oczekiwałem, że się tu znajdzie. Chodzi o wizerunek psa. U Mehoffera liże on



rany Jezusowe. U Dudy-Gracza pies jest obecny w scenie upadku, wobec ludzi wracających z procesji Niedzieli Palmowej, którzy dźwigają ozdobne palmy, krzyż procesyjny przesłonięty fioletowym płótnem, zgodnie z liturgicznym zwyczajem. Spojrzenia ich są obojętne, przechodzą ponad. Jakaś pani w średnim wieku, z baziami – polskimi palmami – w ręku, spogląda na Jezusa tak, jak się patrzy na jakieś zdarzenie, może osobliwe, ale nieangażujące emocjonalnie. Ot, coś tam się wydarzyło i idziemy dalej. Staruszka w czerni też zwraca uwagę na upadającego Jezusa. Tak nieraz – co najwyżej z ciekawością – ludzie przypatrują się leżącemu na ulicy. Mijają

go – pewnie pijany, albo zbiegają się tłumkiem, gdy przyjedzie, wezwane wreszcie przez kogoś, pogotowie. Jedyne pies... Jezus upadający pod krzyżem zniża się nie tylko do poziomu ludzkiego. Nawiązuje jakby bezpośredni kontakt wzajemnego zrozumienia i współczucia ze zwierzęciem. Spojrzenie Jezusa to mówi. I spojrzenie współczujących oczu pieska, nieśmiało i delikatnie wyciągającego łapę.

Ta scena wprowadza nas również w inne zagadnienie – charakterystyczne dla całej koncepcji malarskiego cyklu – związku dziejących się tajemnic Zbawienia z polskością. Tutaj owa polskość pojawia się dyskretnie – a czytelnie i wymownie – nie przesłaniając ogólnoludzkiej – i Boskiej – wymowy zbawczego dramatu. Ogólnoludzkiej, a równocześnie indywidualnej. Podobnie dzieje się również w innych scenach.

Otarcie twarzy Jezusowi. Jakież to było niesamowite, gdy w wernisażowym tłumie chodziły Weroniki, jakby zeszyły z obrazu. Niewiasty w przepięknych szlachetną prostotą strojach – w bieli znaczony delikatnym czerwonym lub zielonym ornamentem haftu. Całość kompozycji tej stacji wypełniają postaci chorych i opiekujących się nimi – w biednym domu opieki. Dziecko trzyma tabliczkę-prośbę jakby zapowiedź tej, która się znajdzie nad Ukrzyżowanym. W górnej części obrazu suszące się płachty prześciera-deł układają twarz Jezusa z chusty Weroniki. Czytelny związek cierpienia ludzkiego i cierpienia Boga-Człowieka, a także ludzkiej pomocy i miłosierdzia z gestem współczucia i próbą pomocy okazanymi samemu Jezusowi.

Stacja pierwsza – skazanie Jezusa – dzieje się wobec lasu mikrofonów. Pomysł wymowny, choć niecałkiem nowy (por. „Konferencja prasowa” Chrystusa ukoronowanego cierniem – Rafała Strenta). Druga stacja – Jezus bierze na ramiona krzyż – w tle ludzie niepełnosprawni, na wózkach, o kulach – i ściana zawieszona kulami, laskami – jak wota w jasnogórskiej kaplicy. Zaś świadkami pomocy w niesieniu krzyża stają się uczestnicy wiejskiego orszaku weselnego.

Artysta celowo umieszcza dramat Męki Pańskiej w polskich realiach, aby powiedzieć, że to nie było kiedyś i gdzieś daleko – ale jest tu i teraz. Dzieje się – jak mówi autor – w katolickiej Polsce, z jej całym historycznym bagażem. Czasem jednak polskość – w dość gorzkim wydaniu – zdaje się być tak centralnym tematem, że aż przesłania to, co najważniejsze. Nie chcę bynajmniej robić zarzutu: za dużo polskości ani nawet formułować obawy, że dzieło stanie się mniej zro-

zumiałe dla – tak tutaj przecież licznych – pielgrzymów i gości z całego świata. Właśnie to, co odrębne może być interesujące dla ludzi innych języków i kultur – o czym świadczą choćby reakcje turystów z Ameryki relacjonowane przez jasnogórskich przewodników. Tym bardziej nie chcę, by moje wątpliwości były odczytywane w kontekście modnych i lansowanych obecnie sposobów myślenia. Jednak jest pewien rodzaj wyrażania patriotyzmu (bo przecież nie żadnego nacjonalizmu, na który w ogóle nie powinno tu być miejsca), który staje się irytujący. To zamknięcie w dusznej atmosferze, sprowadzanie wszystkiego do jednego problemu, to także, mające swoje miejsce w historii, koncepcje mesjanistyczne Polski – Chrystusa narodów. Nie sądzę, aby miały zastosowanie w omawianym dziele. Raczej jest tu ukazanie na przestrzeni historii ścisłego związku Polski z Jezusem w jej najtrudniejszych chwilach, źródła siły dla tylu ludzi wielkich. Tak zapewne można odczytać fakt umieszczenia wizerunków polskich świętych w tle Ukrzyżowanego, a także Papieża pod krzyżem. W stacjach Męki Pańskiej spotykają się uczestnicy wojen i walk o wolność z różnych epok, kombatancki, powstańcy, ofiary Katynia. Jest też nawiązanie do męczeńskiej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki.

Nie wiem, czy wolno mi to powiedzieć, bo przecież analogie cierpienia narodu z cierpieniami Zbawcy nie tylko same się nasuwały, ale podtrzymywały na duchu w czasach trudnych. Zdaje sobie też sprawę, ile znaczyła biel i czerwień w czasie Powstania Warszawskiego czy choćby Polskiego Sierpnia '80. Jednak umieszczenie biało-czerwonej, poszarpanej kulami, wstążki na krzyżu Jezusa (w scenie zdjęcia z krzyża) wydaje mi się jakimś niepotrzebnym zawężeniem. To, co było uzasadnione w odniesieniu do lat okupacji – a nawet w ikonografii stanu wojennego – niekoniecznie nadaje się do ciągłego eksploatowania. Odczuwam to jako spłylenie. Zbawcza męka i śmierć Jezusa ma oczywiście odniesienie także do narodu, również do naszego narodu, ale – tym bardziej w warunkach jako tako normalnych – nie powinna być poddawana próbie jak gdyby zawłaszczania.

Zasygnalizowanym przez Artystę już w latach osiemdziesiątych oryginalnym pomysłem jest pokazanie spotkania Jezusa z Matką jako spotkania z jasnogórską Ikoną – tym razem w otoczeniu innych, czczonych wizerunków Maryi. Tutaj zostało to rozwinięte także w innych stacjach. Stabat Mater oraz Pieta, Matka stojąca pod krzy-

żem i Matka podtrzymująca martwe ciało Syna w scenie zdjęcia z krzyża – to Maryja w jasnogórskim obrazie. Matka Boża jest przecież Królową Polski, co nie przeszkadza Jej być Królową świata i Matką każdego człowieka.

Swoistą wymowę ma pierwszy upadek, którego świadkami są biskupi w bogatych strojach liturgicznych. Patrzą – spojrzeniami i gestami wyrażają smutek i bezsilność.

Stacja trzeciego upadku to stacja dzieci. Cierpiące i zabijane, ukazane są w drastyczny sposób. Można tu odczytać i niszczenie życia nienarodzonych i niszczenie życia dzieci przez biedę, dziecięcą pornografię, prostytutkę, narkotyki, a także wojnę. Bohaterstwo małych powstańców warszawskich reprezentuje tragiczny los dzieci zmuszanych do walki zbrojnej przez okoliczności historyczne i politykę dorosłych.

Prawdopodobnie dużo wysiłku włożył artysta (którego przedstawienie ludzi miało zawsze coś z karykatury), aby – zachowując charakterystyczne cechy swego malarstwa – przedstawić Osobę najświętszą. Znalazł formułę bliską drewnianym świętkom. Ten jakby ożywiony świętek cierpi, krwawią Jego rany. Jest taki obraz Vlastimila Hoffmana „Spowiedź” – klęczący chłop spowiada się przed Chrystusem Frasobliwym. W dawnej rozmowie (przy okazji ekspozycji pierwszych obrazów Dudy-Gracza zapowiadających jasnogórską Drogę Krzyżową) nawiązałem do tego obrazu. Jerzy Duda-Gracz bardzo pozytywnie się o nim wyraził. Widać było, że jest mu bliski.

Charakterystyczny dla Artysty sposób ukazania nagiego ludzkiego ciała znajduje w tym cyklu swą uszlachetnioną postać – pozbawioną drwiny, pełną współczucia. Tak jest w stacji dziecięcej i w stacji odarcia Jezusa z szat – w śmiałym zestawieniu z hostią adorowaną w procesji Bożego Ciała.

Ciało ukazywane bywa w ryzykownych i trudnych skrótach. W Ukrzyżowaniu dziwny efekt daje przedstawienie Jezusa na krzyżu widzianego z dołu, od stóp krzyża albo raczej podczas wznoszenia krzyża z przybitym Jezusem. Postaci świętych polskich na drugim planie tej sceny, a także Papież pod krzyżem – malowane są bez skrótów perspektywicznych. Las krzyży w tle dopełnia kompozycji. To krzyże poszczególnych ludzi, mających udział w misji Chrystusa.

W natłoku postaci pojawiają się symbole i alegorie: spętany baranek, waga, chleb, rozsypane ziarno, a także kobieta o związanych rękach

w scenie pocieszania płaczących niewiast, przywołująca na myśl znaną alegorię Polski.

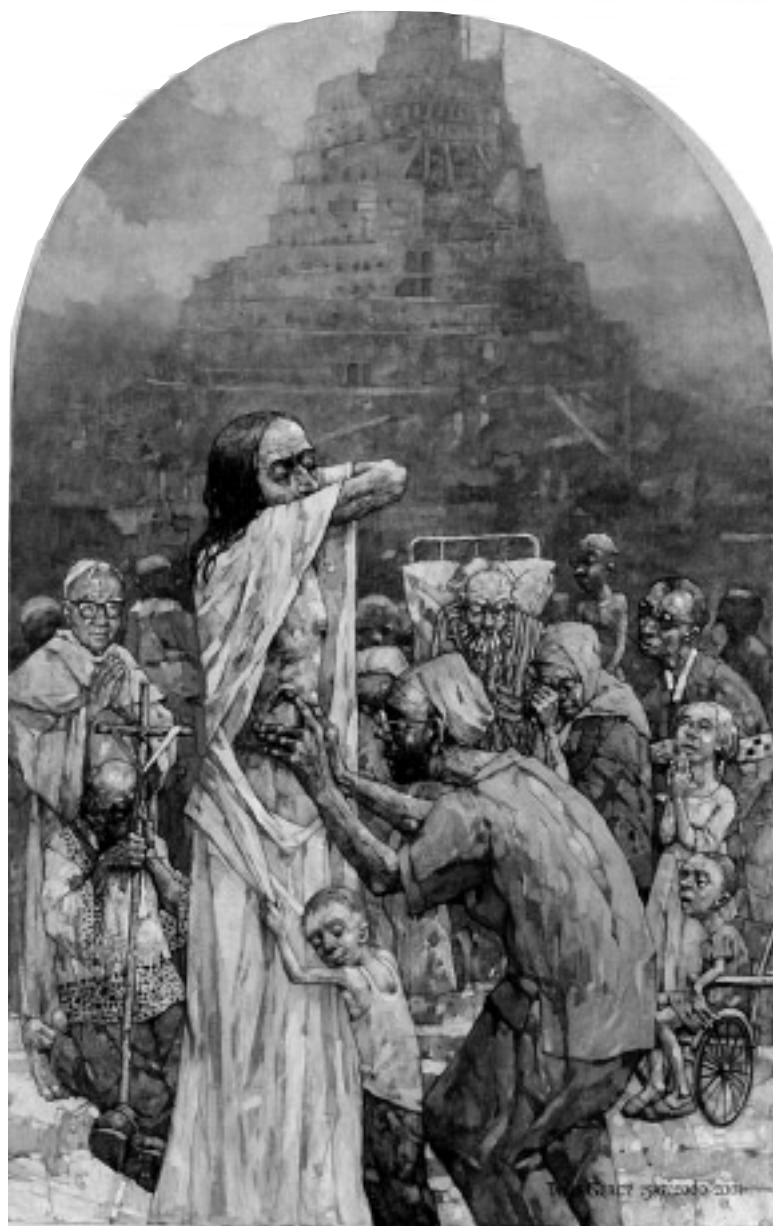
Realia polskiego życia religijnego i społecznego są obecne w każdej stacji. Także tam, gdzie ciemniejące w głębi obrazu konfesjonały dają zielone światła nadziei – jak z jasnogórskiej wieży. Jakież to różne od innego obrazu Artysty – „Daremna pokuta”. Wśród tych realiów polskiego życia uwagę zwracają konkretne, znane osoby. Oprócz Jana Pawła II jest tu i kardynał Wyszyński, i paulin, o. Jerzy Tomziński.

Tutaj jeszcze ważne pytanie dotyczące bardziej samej pobożności, ale też decydujące dla sztuki religijnej, także kościelnej. Wiadomo, że przedstawienie Jezusa Ukrzyżowanego nie istniało w sztuce chrześcijańskiej od początku,



a gdy się pojawiło, było to wyobrażenie Chrystusa w szatach, w koronie. Dopiero później, w wiekach średnich, zaczęto z wielkim dramatyzmem przedstawiać Jezusa umęczonego, Jego ludzkiego cierpienia – zagłębiać się w Jezusowej Męce. Czy powinno się podkreślać w Krzyżu, w jego Misterium, obraz cierpienia czy znak nadziei, zwycięstwa? Zresztą jedno drugiego nie wyklucza. Jak szczęśliwa jest myśl włączenia do jasnogórskiej Golgoty sceny Zmartwychwstania, spotkania z Tomaszem, rozesłania Apostołów i Wniebowstąpienia!

Stacja odarcia z szat jest znamienna dla całego cyklu. W każdej stacji jest bowiem coś z odarcia, огоłocenia. Artysta przejął się słowami Pisma o Mężu Boleści, zdeptanym i odtrąconym, od



którego odwraca się twarz. Dla spotęgowania tego przekazu odstąpił nawet częściowo od realiów ewangelicznego opisu, gdzie Jezus dźwigający krzyż jest ubrany we własną tunikę. U Dudy-Gracza od chwili wzięcia krzyża ma tylko przepaskę na biodrach.

Jest też dzieło Dudy-Gracza protestem przeciw traktowaniu religii, chrześcijaństwa, tylko jako czegoś w rodzaju zabezpieczenia, ochrony dobrego samopoczucia ludzi sytych, „religijności niedzielnej” – bez zwracania uwagi na potrzeby biednych, z którymi przecież Chrystus się utożsamiał. Taką wymowę obrazów wzmacniają teksty Brylla.

Rozmawiałem z kolegą, znanym artystą, który zastanawiał się nad przedstawieniem Jezusa. Czy wystarczy ukazać cierpiącego człowieka, idącego i niosącego krzyż. Oczekiwał w największym wyniszczeniu – odblasku godności i bóstwa. Z naszej perspektywy ma sens takie oczekiwanie. A jednak i tamto ukazanie ma swój głęboki sens. W każdym cierpiącym człowieku jest Jezus – w chorym, bezdomnym, opuszczonym, ubogim, sponiewieranym, leżącym na ulicy, bezrobotnym. Tą drogą interpretacji dzieła poszedł arcybiskup metropolita częstochowski Stanisław Nowak w radiowym rozważaniu niedzielnych czytań liturgicznych, poświęcając jasnogórskiej Golgocie słowa świadczące o dogłębnym zrozumieniu i przeżyciu.

Stacja czternasta. Spokój i majestat grobu. Przejmujący hołd wszystkim ofiarom wojen, nieszczęść, zbrodni. Ciało Jezusa złożone wśród sterty połamanych krzyży, książek, modlitwników. I – Zmartwychwstanie. Słoneczna wizja postaci Zmartwychwstałego Chrystusa na tle barwnej mozaiki ludzi, jak pod szczytem Jasnej Góry.

Na tym cykl się nie kończy. Jeszcze Tomasz – niedowiarek, w stroju chirurga, wkłada palec w ranę Jezusową. Równocześnie – dziecko ufnie przytula się do Jezusa. „Jeśli nie staniecie się jako dzieci...” A w głębi wieża Babel, czytelny i ciągle aktualny obraz sytuacji kraju i świata. Jeszcze Jezus z chlebem w dłoniach, otoczony rzeszą kapłanów koncelebrujących na jasnogórskich pielgrzymkach (rozesłanie Apostołów). I wreszcie – Wniebowstąpienie. Jezus w swym uwielbionym, uduchowionym ciele, z ranami świecącymi zielenią, wstępuje w niebo nad jasnogórskimi błoniami wypełnionymi tłumem pielgrzymów, z pięknie błękitniejącą sylwetą klasztoru... ■

NIE Z NOSZĘ

M A Ł O S T K O W O Ś C I

Wywiad z Tadeuszem Gierymskim

A: Gratuluję Ci nagrody Prezydenta Częstochowy i wydania nowej książki, tym razem prozatorskiej. Jesteś pewnie usatysfakcjonowany?

B: Umiarkowanie. Gdyby to wyróżnienie spotkało mnie 10–20 lat temu... A tak, za późno.

A: Ej, Tadziu, nie umiesz się cieszyć.

B: Kiedyś cieszyłem się z byle czego. Pamiętam, gdy chodziłem do pierwszej lub drugiej klasy, dostąpiłem zaszczytu służenia do mszy jako ministrant. Staliśmy po obu stronach ołtarza, ja i mój kolega. W pewnej chwili kolega lekko się uśmiechnął i mrugnął okiem. Odpowiedziałem tym samym. Potem on, następnie ja i tak po kolei. W końcu śmiech nas pokonał, już nie mogliśmy się opanować. Spirala śmiechu rozkręcała się coraz bardziej. Trzęśliśmy się w komzach. Nic nie było w stanie naszej głupiej wesołości i chichotu powstrzymać. Ksiądz wikary wreszcie nas zauważył (wierni też) i wyrzucił z kościoła. Był to pierwszy i ostatni mój występ jako ministranta.

A: Jesteś niewierzący?

B: Wtedy? Nie. Wtedy wystarczyło poruszyć małym palcem u nogi, żeby wywołać kaskady śmiechu, zwykle w miejscach publicznych. To z wiarą nie miało nic wspólnego, raczej z fizjologią.

A: A dzisiaj?

B: Na ten temat przeczytałem i przemyślałem, mniej więcej od 15. życia roku masę książek: św. Tomasza, Pascala, Engelsa i innych.

A: No i jaki obecnie masz światopogląd?

B: Sam dobrze nie wiem, waham się wciąż między deizmem, agnostycyzmem i... mistycyzmem, czyli groch z kapustą. Wydaje mi się, iż najważniejsze to być porządnym człowiekiem. Czasem to mi się udaje, czasem nie. Ale są pewne granice, jakich nigdy nie przekroczyć, nawet choćbym chciał, granice etyczne.

A: Wróćmy jednak do poezji. Czym ona dla Ciebie?

B: Im dłużej żyję, czytam wiersze mistrzów słowa i swoje własne, tym mniej o niej wiem. Definicji jej jest tyle, ilu poetów i krytyków. Tylko zarozumialcy i mądrale myślą, że wiedzą. Najbardziej odpowiada mi sąd, iż poezja wyraża to, co niewyrażalne. Z drugiej strony zadanie to jest samo w sobie zaprzeczeniem. Pewny jestem tylko tego, że poezja, jak nauka i religia, tylko w inny sposób i innymi narzędziami, dąży, próbuje odkryć, znaleźć prawdę. Te trzy linie gdzieś daleko schodzą się. Ponadto poezja powinna jednym skrzydłem mocno ogarniać ziemię, drugim dotykać, choćby muskać, metafizyki.

A: Dość to wszystko skomplikowane.

B: Skomplikowane i zarazem proste, jak życie, istnienie, byt. Poezja powinna starać się rozplątać ten węzeł, próbować tego. Intuicja mi podpowiada, że w istocie wszystko jest jaśniejsze niż się nam wydaje, tylko ta zrozumiałość przykryta została jakąś metafizyczną tajemnicą.

A: Powiedz konkretnie, co dla Ciebie stanowi największą tajemnicę?

B: Właśnie istnienie wszystkiego: od gwiazdy, człowieka do pudełka zapalek i pojedynczego listka. Próbuje nieraz wyobrazić sobie powszechną nicotę. I też nie potrafię tego pojąć. Myślę, że tak samo każdy człowiek.



A: Jesteś optymistą czy pesymistą?

B: Raczej łagodnym pesymistą. Zresztą dużą rolę odgrywa tu wiek. Ale patrząc obiektywnie (jeśli to możliwe u jednostki) na ogrom zła, gdy dzieci zabijają dzieci – trudno być tym pierwszym.

A: Człowiek jest zły z natury?

B: Mówi się, że dobry. Jednakże w każdym z nas tkwi ogromny ładunek agresji, co widać gołym okiem, chociażby w naszym kraju. Zapewne wychowanie, kultura, samo ograniczenie, warunki bytowania, miłość stępują ostre zęby wilka. Ale nie u każdego. Cywilizacja pożera samą siebie. Nie wykluczam katastrofy naszej błękitnej planety. Każda bowiem cywilizacja na Ziemi miała początek i koniec, np. minojska, etruska.

A: Teraz o pogodniejszych rzeczach, co sądzisz o kobietach?

B: To samo co o mężczyznach, pomijając płciowe odrębności. Gdyby z tłumu całej ludzkości kazano wystąpić istocie o największej dobroci serca, wystąpiłaby kobieta. Lecz jeśli by chciano znaleźć najpodlejszego osobnika, też by wybiegła płeć piękna. Ale te dwie wartości sumują się do zera. Ludzie mają do Boga pretensje, że nie najlepiej urządził świat, nie wszystko mu się udało. Być może. Jednak stworzenie kobiety z zebra Adama było posunięciem niezwykle celnym, trafnym, mądrym. Za ten jeden akt należałoby Mu się niebo. Nawet dwa.

A: Ciągłe filozofujesz, a ja chciałbym wiedzieć, jakie kobiety Ci się podobają, czy raczej podobały?

B: Takie, w których zakochiwałem się od pierwszego wejrzenia; takie, które kochałem idealnie, całą namiętnością, kiedy seks odchodził na dalszy plan. Bo gdy przychodzi, wtedy najczęściej (nie zawsze) miłość się kończy.

B: Nie wykręcaj się, myślę o powierzchowności, urodzie...

A: No, dobrze. Jasnowłosa, ciemnowłosa, to nie miało nigdy dla mnie znaczenia. Oglądałem kiedyś skąpo ubrane kandydatki na miss Polski. Wszystkie były ładne i zgrabne. Ładne jak lalki. Dla mnie ich twarze nie różniły się. Żadna nie miała tego czegoś, co się mnie podoba. Banalna, pospolita, tuzinkowa ładność. Twarze bez wyrazu, ekspresji, oryginalności – puste. Kobieta musi emanować swą płcią, kobiecością, a nie ładnością. Nie musi się krygować. W oczach blask duszy, a nie bezmyślności. Gdy idzie ulicą, nie musi wciąż myśleć o swej śliczności. Dopiero takie mogą być piękne, pociągające.

I w sukience, nie w spodniach. Gęste włosy, nie farbowane.

A: A co oznacza ta kobiecość?

B: Nie wiem, lecz czuję ją na odległość stu metrów.

A: Twój ulubieni autorzy?

B: Nie ma takich, mam ulubione książki: „Mały książe”, „Don Kichot”, „Kroniki włoskie” Stendhala, „Szaleństwo Almayera” Conrada, „Baśnie” Andersena, „Głód” Hamsuna, „Zbrodnia i kara” Dostojewskiego i kilka innych.

A: I z książek współczesnych?

B: Na pewno by się znalazł niejedyn tytuł, lecz nie czytam tej literatury. Wydaje mi się zbyt pokrętna, w bibliotekach do takiego „new” trudno się docisnąć, w księgarniach zaś książki są niby stosunkowo tanie, lecz dla mnie i tak za drogie. Podobnie z dyskietkami muzycznymi, chociaż muzykę uważam za królową muz, a więc stawiam ją przed poezją. Ale kończy się ona dla mnie mniej więcej w połowie ubiegłego stulecia, z Szymanowskim włącznie.

A: Polityka Cię interesuje?

B: Kiedyś bardzo mnie interesowała, ale rozczarowałem się okropnie do Solidarności i to mnie wystarczy, żeby wszystkich (prawie wszystkich) polityków uważać za karierowiczów, fałszywców, cwaniaków i złodziei publicznego grosza. Ich spory, obrzydliwe waśnie, kabaret, jaki urządzili w parlamencie – przejmują niesmakiem. Ostatnio nawet nie głosowałem. Czekam na prawdziwego (prawdziwych) męża stanu. Myślę jednak, że za swego życia już się nie doczekam.

A: Wszystko widzisz na „nie”?

B: Nie wszystko. Uwielbiam przyrodę w ogóle; drzewa, szum w gałęziach wiatru, biedronkę spacerującą po dłoni, którą trzeba obracać, żeby owad nie spadł, plusk łyski w szuwarach, wrzos, polne kwiaty, gwiazdziste niebo, żółte dziewanny, jałowce o najrozmaitszych kształtach, pierwsze czerwcowe poziomki, sikorki (te niebieskawe i czerwone), cierpką w ustach tarninę, teatr chmur, kiedy zachodzi lub wschodzi słońce... rozmowy z mądrymi ludźmi (np. z J.G.)... Tę litanię mógłbym ciągnąć i ciągnąć. Więc nie wszystko na „nie”!

A: Wymień na koniec poetę z Częstochowy, którego uważasz za bardzo dobrego?

B: Nie ma odpowiedzi. Należę wszak do tego środowiska artystycznego. To byłoby nie fair. Ale gdybyś przyłożył mi nóż do gardła, wołając: „Śmierć albo nazwisko!” – wycharczałbym Rysio Sidorkiewicz...

A: Dziękuję za interesującą wypowiedź. ■

LAUREACI NAGRODY PREZYDENTA CZĘSTOCHOWY AD 2001

Tadeusz Gierymski – *literatura*

Barbara Kubicka-Czekaj – *promocja kultury*

Tadeusz Morawski – *teatr, film*

Ryszard Osadczy – *plastyka*

Krzysztof Pośpiech – *muzyka i balet*

Jarosław Marszałek – *promocja kultury w środowisku studenckim*

MECENAS SZTUKI

Mariusz Stefanowski – wiceprezes firmy „Optimus – Bis”

DNI CZĘSTOCHOWY

IX Dni Częstochowy odbyły się pod znakiem muzyki. Już na otwarciu imprezy w Filharmonii zaprezentowano hymn Częstochowy, który być może będzie kiedyś odgrywany w południe z ratuszowej wieży, tak jak w Krakowie z Mariackiej. Odznacze-

nia państwowe z rąk prezydenta miasta otrzymali członkowie orkiestry filharmonicznej, m. in. Włodzimierz Gołębiowski, Jerzy Bober, Andrzej Michalak. Koncert uświetnili skrzypkowie Lech i Kajetan Bałabanowie,

MIASIA

absolwenci WSP, którzy zagrali w Częstochowie pierwszy raz po dwudziestu latach. Pierwszy dzień zakończył spektakl na Starym Rynku „Teatru from Poland” i „Teatru Realistycznego” pt. „The Sant” (Desant). Był to chyba jedyny mocniejszy akcent pozamuzyczny podczas „Dni”. Widowisko przygotowane z rozmachem wywołało sporo kontrowersji, ponieważ przeznaczone było raczej dla widzów dorosłych, a zgromadzona dzie-

cięca publiczność oczekiwała czegoś w rodzaju teatru lalek. Jak dobrze zrozumiałem spektakl, mówił on o przygodach czystej i naiwnej młodzieży w dzisiejszym świecie, pełnej gangów, subkultur, mega-reklamy. Sponiewierani bohaterowie, bałamuceni także przez nacjonalistyczną i antysemicką propagandę, otrzymują odsiecz od ułana-wojaka, który na prawdziwym koniu wywozi ich z piekła, jakie zgotowali im reżyserzy. Oczywiście podtekstów, symboli było znacznie więcej, ale najoptimistyczniejszym motywem było wypuszczenie w niebo tysiąca czerwonych balonów upiętych na kształt serca. „Wszyscy Polacy to jedna rodzina” – tym refrenem kończyło się to trochę obrazoburcze widowisko. Następnego dnia gwoździem programu był koncert Ziuta Gralaka i jego przyjaciół na skwerze między hotelem „Patria” i Miejską Galerią Sztuki. Publikacja miała co oglądać (projekcje multimedialne) i czego słuchać, gdyż wystąpili m.in. Justyna Steczkowska, Stanisław Sojka, Wojciech Waglewski, Mateusz Pospieszalski. Transowa muzyka pełna motywów hinduskich i arabskich na pewno nie należy do łatwych, wymaga ambitnego odbiorcy, dlatego być może płyta „YeShe” jeszcze nie ukazała się na rynku. Tego wieczoru jednak nikt nie wychodził wcześniej z prowizorycznego amfiteatru. Wśród wytrwałych widzów widziałem też panie po sześćdziesiątce. Gwiazdy jednak przyciągają... W sobotę liczyłem na ciekawy występ Jarosława Woszczyzny pt. „Europa Team”, lecz był on za krótki (duży poślizg w programie) i za bardzo przypominał mi „Tabular Bells” Mike Oldfielda. Niespodziewanym przebojem był natomiast „Five O’Clock” grający jazz tradycyjny. W pewnym momencie można było się poczuć jak na statku w Nowym Orleanie na początku wieku. Miłą niespodzianką był fakt, że zespół kilka dni wcześniej wygrał „Złotą Tarkę” na Old Jazz Meeting w Iławie. Jest to absolutne zaskoczenie, gdyż zespół przez kilka lat borykał się z problemami orga-



nizacyjnymi i istniał faktycznie dzięki silnemu wsparciu ludzi z Wydziału Kultury UM. Niektórzy z widzów wygrali płyty...

Niedzielny wieczór należał do Yaniny Iwańskiego, który swoimi starymi i nowymi przebojami rozkołysał widownię na placu im. Biegańskiego. W jego zespole grają teraz bardzo młodzi muzycy, a nowa płyta z koncertu w „Prohibicji” powinna wkrótce ujrzeć światło dzienne. Teatr Tańca Politechniki Częstochowskiej rozczarował mnie całkowicie. Spektakl „Dworzec ZOO”, według książki Christine F. pt. „Dzieci z dworca ZOO”, raził przede wszystkim amatorkim podejściem do tematu i brakiem umiejętności tanecznych większości zespołu. Temat na pewno ważny społecznie (narkomania), ale nie była to wielka sztuka.

Tegoroczne Dni Częstochowy były krótsze (4 dni) od poprzednich, lecz chyba wyszło im to na dobre – były mniej rozwlekłe. Występów artystycznych mniej, ale za to na dobrym poziomie. Niektórzy przypuszczają, że UM oszczędza przed następnymi, huczniejszymi, bo jubileuszowymi „Dniami Częstochowy”.

NA FOLKOWO

Tydzień później odbyła się kolejna impreza „II Dni Europejskiej Kultury Ludowej” zbiegająca się z dożynkami. To następny festiwal, który znalazł się w kalendarzu imprez w Częstochowie na stałe. Obok wystawy rolniczej i Targów Sztuki Ludowej w tym roku można było posłuchać popularnej grupy folkowo-reggowej „Trebunie Tutki” i „Tercja Pikardyjska z Ukrainy. Trebuniowie wystawiali także fotografie, grafiki, obrazy i tkaniny artystyczne w „Gaude Mater” i w ROK-u. W tym roku Dni odbywały się pod silnym wpływem góral-szczyzny i kampanii wyborczej, szczególnie partii ludowych. Konkurs dla twórców ludowych został przeniesiony na rok przyszły. Zagranicznych grup folklorystycznych było zdecydowanie mniej, gdyż organizatorzy po-

stanowili promować przede wszystkim folklor rodzimy. Jakie będą drogi rozwoju tej imprezy? Czy będą przyjeżdżały grupy polonijne z całego świata? Czy za rok, bardzo modny dziś, folk zdominuje scenę i zobaczymy np. „Brathanki” i „Golec uOrkiestra”? Jeżeli ktoś nie lubi ludowego rzemiosła, mógł spróbować poczęstunku kuchni regionalnych w sali OKF-u.

ŚWIAT KSIĄŻKI

Tego lata nie było na lokalnym rynku zbyt wielu nowości literackich, nie licząc folderów poświęconych Częstochowie („Częstochowa. Spacer po mieście” – opr. Małgorzata Jagiełło). Dlatego warto wspomnieć książkę Henryka Bardijewskiego pt. „Spis rzeczy i inne opowiadania”. Ten mało kojarzony z naszym miastem pisarz jest dość popularny na scenach krajowych (zajmuje się także dramaturgią), w radio i telewizji. Ostatnio wszystkie jego sztuki przypomina TV Polonia, a przez wiele lat na antenie radiowej obecne były słuchowiska. Z Częstochową wiąże go jedynie miejsce urodzenia (ur.1932), gdyż resztę życia spędził w Warszawie. Bardijewski otrzymał wiele nagród w konkursach literackich, dwukrotnie nagrodę Komitetu ds. Radia i Telewizji za całokształt twórczości w dziedzinie słuchowisk. Utwory zostały przetłumaczone na kilkanaście języków obcych. „Spis rzeczy...” (wyd. „Prószyński i S-ka”) to wybór opowiadań z ostatnich kilku lat, zabarwionych mroźkową ironią, w których autor zajmuje się duchową obecnością człowieka w obecnym świecie i jej konsekwencjami. Opowiadania pisane są lekko, czystą, przejrzystą polszczyzną, a precyzyjna kompozycja pozwala przyrównywać je do arcydzieł gatunku. Warto, aby o tym pisarzu z tak dużym dorobkiem przypomnieli sobie literacka Częstochowa, tym bardziej że brakuje w naszym mieście solidnej prozatorskiej tradycji.

Drugą interesująca książką, która przeszła bez echa są „Ponure raje Janusza A. Zajdla” autorstwa Leszka

Bendkowskiego, adiunkta na miejscowej WSP, wydane przez „Gdański Klub Fantastyki” w ub. roku. W zasadzie jest to praca naukowa z serii „anatomia fantastyki”, lecz traktuje o dziedzinie odłamu kultury masowej, co może być interesujące nie tylko dla znawców SF.

Młodzi twórcy w upały nie spali: prozaik Marcin Rumiński reklamował włoską firmę „Gino Rossi” na łamach wrześnieowego „Playboya”, a poeta Piotr Tarnowski 1.09. w Rybniku zmienił stan cywilny. Zapowiada, że następny cykl wierszy poświęci macierzyństwu.

UCYWILIZOWAĆ HIP-HOP

O popularności muzyki z nurtu hip-hop nie trzeba już przypominać. Wystarczy iść na jeden z wielu koncertów, by zobaczyć jaki magnes jest w tej nielubianej przez starszych muzyce. W częstochowskim hip-hopie dzieje się ostatnio dużo dobrego. Pracujący wcześniej dla firmy „Gigants Records” Łukasz Robak (znany także z dawnych „Wieczorów Sztuk Wszelakich”) podpisał kontrakt z amerykańskim Uniwersalem (podobnie uczyniły „Świetliki”) i zajął się menedżerowaniem częstochowskim zespołom: „Ego”, „Lari Fari” i „Żywe Srebro”. Oprócz nich pod swoimi skrzydłami ma też topową „Paktofonikę” i „Gutka”. Na efekty nie musiał długo czekać. „Paktofonika” znajduje się w pierwszej dziesiątce najlepiej sprzedających się płyt w Polsce, a przebój „Ego” pt. „Marzenia sennie” znalazł się na playliście undergroundowej „Radiostacji”. Teledysk „Rytmy zwątpienia” można już oglądać na Vivie i MTV. Do udanych należą także występy na festiwalu w Opolu, Bartoszycach, Płocku i cała trasa koncertowa po Polsce. Łukasz Robak i jego grupy zbierają dobre opinie w prasie fachowej. Nazwę swojej firmy „Future Hip-Hop” tłumaczy w sposób następujący: Ma to być muzyka bez raperskich naleciałości, bez bloków, dołów i przemocy. Chciałbym aby znalazły się w niej elementy muzyki soul, reggae, pop, tak aby trafiły do

szerokiej publiczności. Tak powinna wyglądać przyszłość polskiego hip-hopu". Jednym słowem – muzyka na pewnym poziomie. Wkrótce w sklepach ukaże się najnowsza płyta „Ego” pt. „Nibylandia”.

REMONTY

Po remoncie wieży jasnogórskiej przyszła kolej na następne obiekty nadgryzione zębem czasu. Pod koniec sierpnia rozpoczęło się odnawianie elewacji Teatru Miejskiego im. A. Mickiewicza i kościoła św. Jakuba. Naprawy tynku i malowanie wykonują firmy remontowo-budowlane, choć niekiedy potrzebna jest pomoc alpinistów. Zabytkowy kościół do końca listopada nabierze cytrynowego koloru, więc będzie bardzo widoczny wśród drzew rosnących na placu im. Biegańskiego. Jeżeli tak dalej pójdzie, to za kilka lat malownicze ruiny bę-

dziemy oglądać tylko na starych pocztówkach.

LEKCJA

6.10. w Teatrze Dramatycznym im. A. Mickiewicza odbyła się premiera sztuki Eugene Ionesco pt. „Lekcja” w reżyserii Witolda Michała Szymczyka. Szymczyk po kilku latach zajmowania się produkcją filmową powrócił do rodzinnego miasta (kończył LO im. H. Sienkiewicza) i na deski teatru. Świetności spektaklowi dodała muzyka udzielającego się ostatnio wszędzie Antoniego „Ziuta” Gralaka, a o oprawę sceniczną zadbał Jacek Pałucha. Niestety, jego dekoracje zostały usunięte, ponieważ były zbyt dobre i za bardzo przyciągały uwagę widzów. Jej brak wywołuje uczucie niedosytu, gdyż ta groteskowa i na czarny sposób wesoła sztuka, pozbawiona tła robiła wrażenie ponurej i egzysten-

cyjnej farsy z wyakcentowanym motywem okrutnej zbrodni. A chyba nie to chodziło. Świetną i żywiołową grą popisał się Michał Kula, który dosłownie wychodził z siebie w profesorskich monologach na tematy pseudojęzykoznawcze. Asystowały mu Paula Kwietniewska (gościnnie) i Elżbieta Jabłonka w roli Marysi. Paula Kwietniewska – młoda aktorka z Częstochowy na co dzień występuje w Teatrze Muzycznym w Gdyni.

Z premierą połączono uroczystość wręczenia „Złotych Koturnów” najlepszym aktorom i reżyserom sezonu. Plebiscyt przeprowadził miejscowy oddział „Gazety Wyborczej”, a laureatami zostali Marek Śłosarski i Joanna Żółkowska. Najlepszym spektaklem wielbicieli teatru wybrali „Na szkle malowane” Krystyny Jandy. Takich butów nie powstydziłby się David Bowie w roli Ziggiego Stardusta!■

Trudny temat czerwcowego konkursu: „Wiosna na czarno-biało” przyniósł laur Sławomirowi Kunie. Patrz: Galeria – str. 36.



Szanowna Redakcjo,
Bardzo dziękuję za promocję mojej książki poetyckiej „Martwa natura z pętelką” (...). Tymczasem wysyłam dwa krótkie szkice. „Akwamaryn” – wspomnienie o teatrze poezji, który na przełomie lat 80/90 prowadziłem w Dobrodzieniu z pewnymi sukcesami oraz „Wiadomości”, taka rzecz, która mi przyszła do głowy (...). Będę wdzięczny za ich prezentację.
Janusz Orlikowski

Odp. red.
Dziękujemy za teksty, ale o szkodliwości telewizji już pisaliśmy i Pana skamandryckie pomysły, aczkolwiek ciekawe, niczego w tej kwestii nie zmieniają. To walka z wiatrakami. Do „Akwamarynu”, być może, jeszcze kiedyś wrócimy. Niczego nie obiecujemy.

Szanowna Redakcjo,
Przesyłam osiem miniatur z prośbą o publikację Moich Drastyczności. Wszystkich ośmiu o ile to możliwe a czego Częstochowa nie zrobi dla pobliskiego Radomska. Laureatem Konkursu im. Poświętowskiej byłem w roku 1986, kiedy żył jeszcze Tadeusz Śliwiak, chorował na Alzheimera (...). Czy wystarczy, jeśli podczas matury (ulica Dąbrowskiego) byłem Kimś ze starego dworca? (...)
Marek Braszczyński

Odp. red.
Niestety, Częstochowa nie zrobi wszystkiego dla Radomska. Teksty, przynajmniej – bardzo intrygujące, często są niezrozumiałe i ocierają się o bełkot. Zestawienia słowne robią duże wrażenie, ale nic z nich nie wynika. To pełna abstrakcja. W tej chwili jest jesień i przesył poetów, więc być może, gdy nieco dojrzejemy, pokusimy się o prezentację 2-3 wierszy.

Szanowny Panie,
Interesuję się od dawna życiem literackim w Polsce. Za czasów mojego pobytu (w kraju – przyp. red.) zapytałem raz w kiosku o takie czasopisma jak „Życie Literackie”, „Tygodnik Kulturalny” czy „Kulturę”. Sprzedawczyni patrzyła na mnie zdumiona, a potem

zapytała, z jakiej planety się zjawilem. „Czy nie wie Pan, że obecnie ludzie w Polsce wszystkim się interesują, tylko nie kulturą?” – odpowiedziała. Nie umiałem się z tym pogodzić, bo przecież jakieś życie literackie w kraju musi istnieć, myślałem. Mój kolega z czasów szkolnych, prof. dr Zakrzewski, mieszkający i pracujący w Częstochowie, napisał mi, że istnieje ambitne pismo w Częstochowie pod nazwą „Aleje 3” i podał mi adres. Odetchnąłem – coś się jednak w kraju rusza. (...) Mam 59 lat, mieszkam od dłuższego czasu w Niemczech. Pochodzę z okolic Częstochowy (Koniecpol). (...) W trakcie poprawiania brulionu pracy – rozprawy doktorskiej – w trudnych latach po stanie wojennym opuściłem kraj. (...) Interesuję się tym, co się w Polsce dzieje. Podobno działa czasopismo „Odra” we Wrocławiu – kiedyś redagowane przez Tymoteusza Karpowicza (...). Obecnie redaguje to pismo poetka mojej generacji Urszula Koziół, którą wysoko sobie cenię. A może słowo się zdevaluowało w dzisiejszych czasach? Od czasu do czasu nurtuje mnie pytanie: Jak należy dzisiaj pisać? Oglądałem finałowy koncert z Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu i na tym tle także nasuwają mi się refleksje. (...) Myślę, że to jest bardzo ambitna sprawa wydawać takie pismo, gdzie jak gdzie, ale w Częstochowie – i umieć je utrzymać na odpowiednim poziomie artystycznym. Na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie ostatnio mówiło się dużo o Polsce, było tam kilka nowych nazwisk. (...)
Serdecznie pozdrawiam
Tadeusz Rutkowski,
Waldkraiburg – Niemcy

Odp. Red.
Bardzo nam miło, że wieść o nas dotarła aż do starych Polonusów. Chętnie proponujemy Panu współpracę na zasadzie korespondenta z terenu Niemiec. Ma Pan wspaniałą perspektywę oglądania naszego podwórka z dystansu (także czasowego), a i życie Polonii musi być też interesujące. O ile wiem, Domy Polskie w Niemczech działają dosyć prężnie. Co do poezji – na razie się wstrzymamy. Naszym problemem jest brak dobrej prozy i prozaików. Po zapoznaniu się z zawartością magazynu, liczymy na Pańską odpowiedź. Poprzednie numery znajdzie Pan w naszej witrynie internetowej.

WYMIANA MYŚLI NA TEMAT KULTURY I SZTUKI JUŻ WKRÓTCE!
ZAGLĄDAJ NA STRONY SERWISU INTERNETOWEGO „ALEJ 3”:
<http://www.emediapro.com.pl/aleje3/>

Swoje propozycje na forum dyskusyjne można przesyłać na adres:
aleje3@emediapro.com.pl



2/16/00

MELANCHOLY
EMPEROR



FOTOGRAFIE, FOTOGRAFIE...

Kilka miesięcy temu na mapie kulturalnej Częstochowy narodziła się nowa organizacja twórcza – Jurajski Oddział Fotoklubu Rzeczypospolitej – Stowarzyszenia Twórców w Warszawie. Fotoklub RP jest, obok Związku Artystów Fotografików, drugim polskim stowarzyszeniem twórczym fotografów i jedynym reprezentującym Polskę w FIAP – Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej z siedzibą w Luksemburgu, która w roku bieżącym obchodzi półwiecze istnienia.

Oddział częstochowski, któremu gościny udzielił Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie przy ul. Ogińskiego 13A, liczy obecnie 17 członków (2 rzeczywistych i 15 nadzwyczajnych), a jego spotkania odbywają się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca o godz. 19. Spotkania dostępne są dla wszystkich zainteresowanych fotografią, a także dla tych, którzy chcieliby przedstawić do oceny swoje prace oraz uczestniczyć w comiesięcznych konkursach. Ich laureaci wyróżniani są nagrodami pieniężnymi przeznaczonymi na materiały fotograficzne, wyasygnowanymi na ten cel przez Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Częstochowie.

Obserwacja istniejącego od kwietnia br. Oddziału skłania do następujących wniosków:

1. Udział przeciętnie ponad 20 osób w każdym z dotychczasowych spotkań świadczy o zapotrzebowaniu na tę formę organizacji twórczej miejscowego środowiska fotografujących.
2. Comiesięczne konkursy fotograficzne stoją na dobrym poziomie artystycznym, co inspirowało do realizacji nowych pomysłów i działań, a co

można zaobserwować na przedstawionych w tym numerze fotografiach, które zajęły pierwsze miejsca w poszczególnych miesiącach.

3. Każde ze spotkań miało swój pokaz autorski, również osób, nie będących członkami Fotoklubu, które po raz pierwszy miały okazję usłyszeć opinie o swoich fotografiach w takim gronie.
4. Wymiana zaproszeń i informacji o imprezach fotograficznych w kraju i za granicą oraz prezentacje katalogów zachęcają do udziału w wystawach, co już przynosi wymierne efekty. W ostatnim, VI Przeglądzie Fotografii Polskiej i Krajów Nadbałtyckich w Koszalinie swoje prace prezentują: Janusz Mielczarek (praca nagrodzona) oraz Maciej Pułkownik i Paweł Wróblewski. Na największej w świecie konfrontacji fotografii artystycznej (ponad 40 tysięcy zdjęć nadesłanych przez około 4 tysiące autorów ze 120 krajów) – Hasselblad Austrian Super Circuit 2001, akceptacje uzyskali: Janusz Mielczarek i Janusz Stępień, a na wystawie w USA Maciej Pułkownik.

Warto zauważyć, że prace prezentowane niedawno na klubowych spotkaniach „poszły w Polskę i świat”, zyskując aprobatę jurorów na poważnych wystawach, a to przecież dla wielu autorów dopiero początek drogi twórczej.

1 października członkowie Oddziału Jurajskiego Fotoklubu RP w Częstochowie wybrali zarząd w składzie: Janusz Mielczarek, Sławomir Jodłowski i Paweł Wróblewski. ■

Janusz Mielczarek

Najliczniej dotychczas obsadzonym konkursem miesięcznym był: „Moje miasto i region”, w czasie którego 12 autorów pokazało 75 fotografii. Przy wysokim poziomie artystycznym i zróżnicowanych technikach fotograficznych, za najlepsze zdjęcie uznano częściowo sepiowany, grafizujący wizerunek Katedry p.w. św. Rodziny, którego autorem jest Paweł Wróblewski.





Fotografował Marian Gałkowski. Fotografia Mariana Gałkowskiego uznana w październiku za najlepszą na comiesięcznym konkursie Oddziału Jurajskiego Fotoklubu RP – Stowarzyszenia Twórców w Częstochowie, który odbywał się pod hasłem: „Człowiek w krajobrazie”.